

**GABRIELA
ZAPOLSKA**

KOBIETA BEZ
SKAZY

Gabriela Zapolska
Kobieta bez skazy

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23553426

Kobieta bez skazy: Fundacja Nowoczesna Polska;

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

List pierwszy	4
List drugi	8
List trzeci	12
List czwarty	16
List piąty	19
List szósty	23
List siódmy	29
List ósmy	33
List dziewiąty	37
List dziesiąty	43
List jedynasty	47
List dwunasty	56
List trzynasty	73
List czternasty	76
List piętnasty	91
List szesnasty	97
List osiemnasty	103
List dziewiętnasty	109
Конец ознакомительного фрагмента.	110

Gabriela Zapolska

Kobieta bez skazy

List pierwszy

...no! muszę przyznać, że troszkę to nieprzyjemniejsze, niż sądziłam. Wyobraź sobie, idąc tu, zdawało mi się, że jestem heroiną romansu. Niewielkiego. Ot – *une passionette* – z podłożem „rozwodowem”. A tu – mogę powiedzieć – farsa, nawet nie tragifarsa, i nie à la Dulscy. Inny *genre* – zupełnie. Niby jakieś wiwisekcje duchowe i w gruncie rzeczy puszczenie baniek. Tylko bez tęczowych afer. Ot... na szaro. – Ile pani ma lat? Kręcę się. Coś marmocę. Czy zauważyłaś, Helu, że kobieta zawsze się swoich lat wstydzi. Albo że ma aż tyle, albo że ma dopiero tyle... Zawsze. Dość, że i ja nie mogłam wykszusić tej mojej trzydziestki. A przecież – właściwie o cóż mi chodziło? – Trzech księży i jeden podksiądz. – No tak, Helo – podksiądz – taki młodziutki, nawet dość naiwny – coś ze studencika. – Pochylony nad masą papierów, pisze i pisze – czasem tylko (ale bardzo rzadko) podnosi na mnie swe szafirowe, trochę smutne oczy. – I szybko, jeśli spotka się z moim wzrokiem (robię to bardzo od niechcienia i zręcznie), przenosi oczy na otwarte szeroko okno, przez które widać śliczny szmat ogrodu, z bajecznymi bukietami akacji. – Niby to śledzi wtedy muchy, tańczące w

strudze zachodzącego słońca, ale ja wiem, Helu!... To biedactwo odpoczywa po „głębi moich dwóch niezmiernych stawów”... A jakże.

Ach! Helu!.. Helu!.. Dwa dni trwają już te moje przesłuchiwanie rozwodowe. Jeszcze mam przed sobą drugie dwa. – Codzień biorę inną suknię i przedstaw sobie, jak dobrze wyznawać tę naszą maksymę. – „**Najuczciwsza kobieta powinna być zawsze pod bronią**”.

To jest... *les dessous irreprochables*... Bo nie wiesz dnia, ani godziny...

Ach! Żart na stronę. Mówi się tu n. p. o tramwaju. – Wsiadasz, tramwaj rusza. Padasz. O koła zaplątuje się suknia. Jesteś wleczona kilkanaście kroków w oczach p. t. publiczności. – Pierwsza myśl – jakie mam *dessous*? Dopiero druga: co mi tam połamia? – Ale ta pierwsza dominanta. – A więc – jeśli koronki, batysty, tafty i t. d. mają nieposzlakowane piękno – możemy oddać się z wdziękiem i beztruską wleczaniu po szynach w oczach rozentuzjzmowanych przechodniów. Lecz jeśli nosimy podwiązki pod kolanami, o Helo!... Co za cios!... Czy taka kobieta może marzyć o wzbudzeniu idealnych uczuć – jeśli jej wielbiciel odkrył u niej podwiązki pod kolanami, lub *dessous*, ozdobione szydełkowym tiulikiem (!). – Powiesz – przypadek! Hm! tak – ale, Helu, my, **kobiety uczciwe**, możemy tylko liczyć na przypadki, pozwalające nam ujawnić, jak w błyskawicy, to, co stanowi nieskazitelnosc naszych przekonań...

Dziś – bez tramwaju zaszła potrzeba takiego ujawnienia

nieskazitelnosci moich *dessous* i zasad. – Oto – przy przesłuchiwaniu – gdy doszliśmy do punktu owej sławnej sceny (och! znasz ją zanadto dokładnie – bo swego czasu wylewałam me łzy rześiste w tej sprawie na twe łono), do owej *la grande scène*, w czasie której mój mąż (a obecnie pan Bohusz), odpłacając mi za trochę może nieparlamentarne o nim przekonanie – pochwycił nóż do owoców i z czarującą, przyjacielską gracją ugodził mnie nim w lewą łopatkę. Była to drastyczna wymiana nienawiści dwojga płci i coś nieco **ze szkoły zapaśniczej życia**. Pozostała mi po tej scenie, dowodzącej, jak dalece instytucja małżeńska jest niezbędną w społeczeństwie, głęboka blizna. Ponieważ przesłuchania rozwodowe są jakby poparte metodą pogładową, areopag kapitulny zarządził wizję lokalną. Zawahałam się chwileczkę. Tyle tylko, ile było potrzeba do zamaskowania mej, w tym względzie obowiązkowej, skromności i szybkiego zbadania mych *dessous*. Wreszcie, rzuciwszy okiem w stronę sekretarza, który pograżył się cały w stosie papierów, ujawniłam triumfalnie słodki, blady ton liljowych batystów, pianę walansjenek i cud moich ramion, które znasz, a które zaczynają nabierać ślicznej linii, właściwej balzakowskim kobietom. Miałam na tyle dobrego smaku, że nie konstatowałam wrażenia. Zadowolniłam się tem, że chwila ta była i stała się.

Widzisz więc, że i my, kobiety bez skazy, nie wiemy dnia, ani godziny...

Stąd przyjmij sobie tę zasadę, którą odtrącać się zdawałaś, i

przy niej – trwaj!

Twoja

Rena.

List drugi

Piszę dziś znów, a to, że przewiduję twoje wymówki. – Pisziesz mi – powiesz – bez ładu składu. Obchodzi mnie, **jak się rozwodzisz**, jakim porządkiem, w jakiej formie. A ty swoim zwyczajem przybierasz ton listu Bóg wie kogo i zajmujesz papier i czas tramwajami i lila kolorem twoich batystów. Wiem, wiem – byłaś i jesteś tą wzorową osobką, która każdą chustkę od nosa z prania przegląda do światła, czy czasem nie pozostała na niej jaka plamka. Ty nigdy nie mogłaś pogodzić się ze mną, że ja miałam trochę rozwichrzone włosy i wzywałaś mnie do szanowania **pozorów**. Moja droga – w rzeczach **zasadniczych** potrafię ja te pozory uszanować. Powiedz mi, czy w ogóle pod względem tak zwanego **prowadzenia się** macie mi co do zarzucenia? Nie! Mogę wyzwać śmiało pod pomnik Mickiewicza (tam bowiem obecnie załatwiają się wszystkie wielkie kwestje) cały świat i żądać, aby mi dowiedziono, czy zbłądziłam (ale to naprawdę), choćby we śnie? To jest i pozostanie właśnie dumą mego życia. Jak gronostaj, tak się przenoszę przez męty i kałuże. Bez plamki – słyszysz!... Bez plamki. I jeżeli mam być szczerą, a przed tobą jestem nią, to przychodzi mi to z łatwością. Jestem bowiem kobietą bez skazy, ale i bez tego, co nazywają... temperamentem. To wszystko, co małżeństwo przedemną odsłoniło – *ça ne me dit rien*. Zrozumiałaś? Ty jesteś dość skryta i na moje w tym

względnie pytania odpowiadałaś milczeniem i uśmiechem. Więc właściwie nie wiem, czy mnie rozumiesz, czy i dla ciebie owe chwile problematycznych cudowności są wyczekiwane, czy raczej wymijane konwencjonalną grzecznością. Dość, że ja unikam owej „plamki” wesoło i zupełnie normalnie, zwykle w **ostatniej chwili** przyzywając mą godność nieskalanej kobiety, jak ekran przed zbyt dużym żarem nadto podsycanego ogniska.

Ach! Bo tu leży to, co mi wyrzucasz często, a wierz mi, że ze zbyt wielką surowością.

Jeżeli nie apróbuję finału i nie chcę brać udziału w misterjach cudownych, o wątpliwej właściwie wartości, nie jest rzeczą konieczną, ażebym wyzbywała się przyjemności wysłuchania uwertury i właściwej treści opery. Tembardziej, że dla mego indywidualizmu te preliminarja właśnie stanowią cały bezsprzeczny urok stosunku mężczyzny z kobietą. Możesz mnie sądzić zdeprawowaną. Hm!... Moja droga – zdeprawowanie jest rzeczą względną. Dla jednych to, co niby stanowi zdrowe i normalne przebiegi miłości, jest jedynie godne miana cnoty, a wszystko inne chrzci się mianem zdeprawowania, dla drugich znowu tamto finalne jest pieśnią zwierzęcia stadnego, obwieszczającego swe zdeprawowanie, a nie mogącego już odczuć subtelnych rozkoszy ledwo dostrzegalnych drgnień bardzo uduchowionych połączeń. Ty nazwiesz mój *genre* flirtem, ale na Boga, skończcie już raz używania tego wyrazu, który przeciągnął nawet przez kredens i garderobę, nie licząc salonów i „buduarów” (!) kołtuńskich kokietek. Ja się upajam, a nie

flirtuję. Ja biorę z życia to, co właściwie jest dla mnie
upojeniem i radością. Przechodząc mimo ogrodnika, kupuję
sobie bukiet anemonów, które pociągnęły mnie ku sobie
intensywną barwą swych kielichów. Tak samo zbliżającego się
ku mnie mężczyznę, który przynosi mi swe samcze poprostu
zapędy, ja z całą umiejętnością wpędzam w rozstawione sieci
i zaczynam wprowadzać w stan preliminaryj tak pięknych, jak
piękną była owa barwa kwiatowych, kupionych przezemnie
kielichów. Gdybym mu w jednej chwili zamknęła drogę do
nadziei, mężczyzna ten cofnąłby się i ja pozostałabym sama i
nudząca się. Tak, spodziewając się ciągle, jak indjanin w pióra
barwne, tak on zaczyna się stroić, czy to w cudze piękno, czy
rzeczywiście z głębi swej duszy wyciągać do lamusa zapchane
swe piękno wewnętrzne i uroczystości duchowe.

Często zaśmiewam się w głębi mojego **ja**, patrząc i
odczuwając, jak taki pan, zezując w stronę mej ślicznej, różowej
sypialni, pochyla się ze mną moralnie nad źródłem idealnem
„szczęśliwości miłosnych”. A tymczasem zdaje mi się, że słyszę,
jak mówi jego wewnętrzne **ja**.

– Chce ci się chodzić na szczudłach? – Masz, masz,
masz – odemszczę ja się za to... odemszczę... „gdy mi
padniesz wreszcie w ramiona”... I czeka tej odpowiedniej
chwili do zemszczenia się, wysyłając od czasu do czasu jakiejś
awantgardy, które ja łaskawie przyjmuję, o ile są subtelne
i dystygowane. Lecz skoro tylko ten uśmiech ośmnastego
wieku chce „schłópieć”, *je tire ma révérence* i już mnie niema.

Jak motyl pozbieram z kwiatu to, co jest słodyczą i wonią, rozmarzę się, upoję, zawibruję wspomnieniem i pozostawiam mój *sujet* z projektem... shańbienia mnie i zemszczenia się za to, że tak ślicznie w nocie księżycowe błądziliśmy po ścieżkach, wysypanych brylantowym piaskiem, podczas gdy w oddali, ledwo dostrzegalnie, drgały harfy naszych zmysłów. Bo, moja droga Helu, zechciej być bardziej wyrozumiała, gdyż:

Chacun prend son plaisir où il le trouve.

Twoja

Rena.

List trzeci

A co? Nie mówiłam? Ciche skargi, że i ten drugi list nic nie opisuje. A przecież to takie ważne, ta **forma** rozwodu, to przecież takie ciekawe! Zaraz naładuję ci twój podróźny koszyczek najświeższymi wiadomościami, tylko jeszcze chcę ci powiedzieć, że mam wielką dla ciebie wdzięczność za **uznanie**, z jakim moja cnota spotkała się u ciebie. Piszesz: „Wiem, że potrafisz się zatrzymać w sam czas”. – Moja jedyna, ja od pierwszej chwili jestem **zatrzymana** i chodzę na uwięzi, ale tu chodzi o umiejętność zatrzymania mego partnera i tej siły mi wiesz. Bo widzisz, dzieje się czasem tak: Indjanin, ustroiwszy się w pióra, zaczyna znajdować, że mu jest pięknie w tych piórach, forsuje nutę, znajduje jakiś ton mi nieznanym i oto ja zaczynam mieszać się i tracić poczucie prawdy. I wtedy zaczyna się niebezpieczeństwo, a... Cud może rzeczywiście przedstawić jako cud. Wtedy – co będzie ze mną? Co?

I tu podziwiał i wiesz mi tej forsy, tej siły, która nagle pozwala mi stanąć na wyżynie niezdobytej mej cnoty i nieskazitelnej potęgi. Nie o to chodzi, że ja się zatrzymałam, ale że potrafiłam **zatrzymać** indjanina w jego fascynującym tańcu, w księżycowych blaskach. Jakich używam wtedy broni, to już mniejsza i sekret to mój własny. Zresztą, dla ciebie zbyteczny. Dość, że bronie te są rozmaite i zastosowane nie tylko do indywidualności partnera, ale nawet do zewnętrznego otoczenia.

Inaczej bowiem wycofuje się przed finałem wobec gwiazd Maeterlinckowskich, a inaczej przed uchylonemi drzwiami mej różowej sypialni. Tu pozwól sobie zwrócić uwagę, iż pozostawianie właśnie tych uchylonych drzwi zawsze jest niby dziełem wypadku i nikt z tego powodu nie może na mnie rzucać brzydkiego cienia. Potrafię bowiem przejść z salonu do sypialni pod pretekstem przyniesienia pozostawionej tam książki, i wracając w **roztargnieniu**, potrafię ślicznie drzwi nie zamknąć...

A więc...

Czego chcesz?

Lecz widzę, jak się marszczysz. Znów to samo, znów na prawo i lewo szczebiotanie, im więcej rzeczy ci znanych i wiadomych. No, nie bardzo. O ten rozwód ci chodzi? No, więc dowiesz się, że dziś dzień trzeci i trzecia suknia. Kolor dyskretny, szaro-zielony, płótno pierwszej sorty, spódnica dość krótka, przybrana pałkami, żakiet pół długi, lekko wcięty. Bluza koronkowa, ślicznie ażurowa. Na głowie rodzaj turbana z dwoma ponad uszami pękami lila akacji. Inwencja moja, nadająca mi specjalne *cachet*, trochę wyzywające i ciągnące za mną oczy przechodniów. Co więcej? Buciki ze skóry w tonie sukni, pończochy *idem*. Co najwięcej mi sprawia radości, to rękawiczki, w tym samym tonie, które znalazłam w pewnym sklepie. Całość zwaporyzowana mieszaniną Sweat Pea i Heliotropu. Także moja inwencja. Trujący heliotrop i słodki, idealny groszek... Słowem to, co ja, w zbliżeniu się... Ten zapach, to jakby delikatny,

czarujący pazik, wysłany na zwiady...

Czy to chciałaś wiedzieć? Taki jest dzień trzeci. W dzień pierwszy była suknia z czarnej etaminy i wielki Lamballe z piórami. Pojmujesz, nie mogłam się hazardować, nie znając wcale terenu. Należało więc być *correcte*. I dobrze się stało. Składałam bowiem **przysięgę**. Ale tak uroczystą, nadzwyczajną. Wyobraź sobie, kazano mi ukłęknać, położyć rękę na otwartej księdze i tak przysięgać. Dwie miałam wtedy myśli. Pierwsza rzeczywiście jakiś dreszcz, jakbym stanęła nagle przed czymś wielkim, nieznanem, które mi grozi zwaleniem się na mnie i pogrążeniem mnie w przepaść – druga myśl, jak muszę rzeczywiście interesująco wyglądać na tle tych szarych ścian kapitulnej izby, w mej długiej, miękkiej sukni, ze skierowaniami odpowiednio wzruszeniom oczyma. I ta pierwsza myśl naprowadziła we mnie żelazne postanowienie mówienia najczystszej prawdy, a ta druga żal, że nikt nie może ocenić odpowiednio piękności tej całej sytuacji. Poszukałam wzrokiem sekretarza, lecz ten uparcie liczył w tej chwili muchy, wpadające z ogrodu...

No i wreszcie zaczęło się przesłuchanie. Pisałam ci w pierwszym liście, że jest to farsa, i taką wydała mi się od pierwszej chwili. Gdyby choć ta wiwisekcja sprawiała mi pewne niemiłe duchowe łaskotanie, ale i to nie. Ot! Odpowiada się machinalnie i z początku odczuwa się pewne zniecierpliwienie nad niedyskrecją i wywlekaniem przyczyn i skutków. Lecz powoli tępieje się na tej ławeczce, na której się musi siedzieć

godzinami całymi. Już przy końcu pierwszego dnia, ponieważ było bardzo gorąco i księża mieli przed sobą dwa syfony wody sodowej, cała moja myśl skoncentrowała się na wyrobienie w sobie dosyć odwagi, aby wstać i poprosić o szklankę wody.

Lecz co dziwnego i komicznego zarazem. Nie miałam na tyle odwagi, ja, której tupet jest przecież przysłowiowy w naszym świecie.

Postanowiłam tylko przynieść jutro ze sobą moją saską bombonierkę, pełną pastylek miętowych i demonstracyjnie jeść je na przesłuchaniu. A może zdobędę się na zdumiewający krok i poczęstuję kleryka. Widziałam bowiem i w jego oczach pragnienie wypicia szklanki wody.

Ale i on nie śmiał.

Jutro napiszę ci więcej. Jestem jakaś senna. Zakazałam Kaswinowi i Halskiemu zjawić się w tych dniach u siebie. Rozumiesz, iż tak było przyzwoiciej. Dlatego się nudzę. Doprowadzam do olśniewającej, tycjanowskiej barwy swoje włosy i nudzę się.

A przeto jestem senna!

Twoja

Rena.

List czwarty

Ej panienko! Panienko! Bo zaczynam podejrzywać w tobie rzeczywiście jakąś perwersję. Ależ tak! To naleganie na mnie, a powiedz, o co się pytali? Wygląda mi tak, jak wtedy, gdy na pensji zjawił się list od jakiejś naszej dawnej koleżanki, która za mąż poszła. A co? A jak? A gdzie?... I takie miluchne dreszczyki przebiegały nas od gładko wyczesanych główek aż do różowych stopek. Tak samo i ty chcesz wiedzieć, o co mnie pytano. I choć nie określasz dokładnie punktu, o który ci chodzi, to przecież ja wiem, w którym kierunku ciekawość twoja skierowana. Otóż wszystko odbyło się bardzo prosto, mimo że wyczuć było można tę niezwykłość chwili. Ja stałam się nagle sztywną, zimną, obojętną – moi interlokutorowie uderzyli w ton prostoty i niemniejszej obojętności. Rozmawialiśmy o mej nocy poślubnej, jakby o pierwszym zadysponowanym obiedzie, a przecież uczuliśmy wszyscy wielką ulgę, gdy przekroczyliśmy tę ścieżkę. I dopiero, gdy znalazłam się w domu, w ciszy mego sypialnego, samotnego pokoju, ogarnął mnie jakiś bunt i wstyd. Zdawało mi się, że ktoś przemocą wtargnął do grobowca, który sama na złoty klucz zamknęłam. I tu widzisz, Helu, jest szpetota tego, co tylko płaską farsą się zdawało. Jest to gaszenie ostatniego płomyczka, co tlił przed sarkofagiem piękności miłosnego Cudu.

Nie – teraz więcej, niż kiedykolwiek czuję, że między mną a tak zwanem zmysłowem życiem skończyło się wszystko. I nawet,

jeśli ci to sprawi pewnego rodzaju rozkosz i uspokojenie, to i te flirty (!) zaczynają mi być jakieś dalekie i mniej ponętne. Tylko, że już wtedy życie stanie się dla mnie – zupełną pustką...

Powiesz: unieważniają ci małżeństwo i możesz iść drugi raz za mąż.

Ha no! Tak. Dla nas, kobiet uczciwych, właściwie jest to jedyny jeszcze punkt wyjścia i postawienia na loterii życiowej. Może być, że taki indjanin nie wyzbędzie się nawet po ślubie choć resztki piór tęczobarwnych...

Może...

Ale to problematyczne.

Stąd jestem w rozterce i dawniej, gdy byłam spętana, czułam się o wiele szczęśliwszą i swobodniejszą, niż teraz... Obecnie, gdy furtka może być otwarta, pęta i kajdany życiowe zaczynają mi ciążyć. Bardzo jasne. Będąc tylko separatką, mogłam bezkarnie być uwielbianą, i jeszcze każdy z widzów tej komedji żałował mnie i podziwiał.

Obecnie wolno mi przyjmować miłosne ofiary tylko *pour le bon motif*. Wszak będę wolna i mogę zostać poślubioną. A wiesz jeszcze, co przeczuwam? Że i adoratorów będzie mniej. Stanę się jakby panną na wydaniu i bez wdzięku tego, co okrasza panny. Zbliżyć się do mnie będzie już jakimś zobowiązaniem. Przeczuwam pustkę, pełną **szacunku**, i jestem przerażoną. Bo rozwódka ma tylko trzy drogi. Albo zasłynąć, jako ktoś łaskawy i przystępny, albo jako kobieta bez skazy, więc nudny nieużytek, albo pretendentka do małżeńskich propozycji.

Z melancholią widzę, iż będę musiała wybrać to trzecie, w połączeniu z tem drugim. Ale, Helu!... co mi to przyniesie?...
Co?

Twoja

Rena.

List piąty

Dziś jeszcze wezwano mnie na zeznania dodatkowe. Przyznaję się, że byłam zadowolona. W ten czas ogórkowy jest to wspaniała dywersja, musisz sama przyznać. Zresztą już zaczęłam się wkładać w mą rolę i lubiłam siebie, wchodzącą szybko i pewnie po tych schodach, o stopniach wyżłobionych stopami ludzkimi, o ścianach milczących, połatanych, jak stara izba ubogiego proboszcza. W ogóle, jeśli się chce widzieć takie odwrotne strony medalu, to dobrze jest znaleźć się w tej, co ja, sytuacji. Widzi się wtedy wielkie nicości ogromnych nadwartości i wtedy własny ogródek wydaje się niewymownie wspaniały i bogaty. Ręczę, iż byłoby tak samo i z Watykanem, z którego p. Bohusz wysłał swą skargę rozwodową. Otóż widzisz, moja droga, jest tak. Chodziło o to, aby nasz rozwód nie skompromitował żadnej strony. Tylko pod tym warunkiem zgodziłam się na owo nieważnienie małżeństwa. Ponieważ prawie wszystkie punkta kompromitują albo jedną, albo drugą stronę, gdyż odkrywają i otrąbiają jej wady moralne, albo fizyczne, znaleźliśmy się w ciężkiem położeniu. Na dźwiganie plamy moralnej ja nie chciałam się zgodzić. Łatwo zrozumiałe. *Grand Dieu!* Cóżby się stało z moją gronostajową szatą? Na fizyczny zaś jakiś niedostatek niezwyczęzony pan Bohusz przystać znów nie mógł. Po długich pertraktacjach i mozołach wybrano złoty środek, wygrzebano niewielką i w kąt wciśniętą przyczynę.

Oto – przymus moralny.

Wkracza w dziedzinę procesów psychicznych, więc nieuchwytny, a zatem łatwy do dowiedzenia, trudny do zaprzeczenia. Ponieważ pana Bohusza niemożliwe było przymusić w jego czterdziestce, dobrze już określonej, ja stałam się tą ofiarą, zmuszoną do małżeństwa przez srogich opiekunów, jako że rodziców nie miałam. Po wynalezieniu tego powodu odetchnęliśmy wszyscy, winszując sobie wzajemnie, że tak dystygowanie wydobędziemy się ze śliskiej bądź co bądź awantury. I pan Bohusz udał się do Rzymu, aby tam, „zasiedziawszy” miejsce, wystąpić ze skargą, jako że ja, Terena, jego żona, nie mogłam być dobrą żoną, gdyż...

I tu się zaczął niezrównany pokaz kłamstw i cudownych, mieniających się stu barwami krętactw.

Jako że zmuszono mnie do owego ślubu moralnie, a nawet i fizycznie. Jako że nawet wleczono mnie za włosy do ołtarza, co potwierdził szereg świadków, którzy zaznaczyli się tem w mej egzystencji, że mnie nie widzieli na oczy. Lecz, moja jedyna, tak już być musi, bo w takie, a nie inne warstewki ułożyło się wszystko to, co o naszym życiu stanowi. Przynajmniej popełniono ten akt lojalny i nie kazano mi zeznawać tej misternie utkanej siateczki. Wszystko już w tej mierze było naprzód przygotowane, a ja tylko położyłam swój podpis. Uczyniłam to jakby z furją, tak, że trochę naddarłam papier. Coś na kształt buntu krzyczało we mnie z żalu za czemś, co tlało i gaśnie. Wiesz, że pomimo mych krętactw i komplikacji w dziedzinie erotycznej,

jestem zupełnie prostą naturą w sprawach życiowych. Dlatego i to, co naleciało w prostą linię mej egzystencji z marmurów i cyprysów, zmassowanych poza halabardami świetnych papuzio gwardzistów watykańskich, szarpnęło mną całą...

I dziś, Helu, jestem zdenerwowaną więcej, niż przypuszczałam. Polubiłam ubóstwo naszej kapituły, w której rozbrzmiewały nad moją, ślicznie uczesaną głową, wyroki purpuratów, z całą perfidją i maestrją redagowane. Były to kontrasty, które mnie zawsze zachwycają. Stąd mój kult dla Odillon Redon'a i jemu podobnych. Może nawet i to szarpanie mnie wewnętrzne, które ujawniło się dopiero w ostatnich chwilach przesłuchania, było podłożem tej jakby rozkoszy, której zaczęłam doznawać. Gdy więc powstaliśmy wreszcie wszyscy z naszych miejsc, ja skłoniłam się wytwornie, ale z żalem, i raz jeszcze obrzuciłam wchłaniająco okiem tę izbę cichą i pełną jakiejś czarującej woni, właściwej zakrystjom i klasztornym kurytarzom. Cztery czarne sylwetki księży, o gestach rzadkich i widocznie bezwiednie wyszukanych, potem ten wielki Chrystus, rozpięty na krzyżu, do którego biegło już może niejedno spojrzenie kobiety, tłumiącej w sobie żal za gasnącem światłem...

Ty wiesz, Helu, ty znasz mnie najlepiej, może nawet lepiej, niż ja sama, bo patrzysz na mnie z pewnej perspektywy, że stawałam przed ołtarzem nie jak małpeczki Gyp'a, albo Prevost'a, ani znów jak dziewczęta z pod wiejskich strzech z naszej literatury, przeznaczonej „dla wszystkich”, to jest dla rodzinnych stojów.

Było we mnie wszystko w miarę, jak w dobrym puddingu angielskim. I rozrzewnienia, i wiary, i poezji, i ciekawości, i troszkę jakby namiętności. To ładnie owiane bielą welonów i zapachem kwiatów. Obecnie pozostaje mi coraz więcej i fatalniej gasnące wspomnienie, a z tych kwiatów, cudów, bieli i iluzji wewnętrznych nawet piękna mi nie raczą pozostawić. To wszystko przecież, co unieść mogłam, Helu!... I tego mi nie zostawią... i tego...

Twoja

Rena.

List szósty

Gromisz mnie za moje wczorajsze rozrzewnienie? Masz trochę racji. Mazgajstwo nie powinno wchodzić w nasz program życiowy. Skoro zaczynamy się rozrzewniać nad sobą samymi, zasługujemy jedynie na to, aby to rozrzewnienie doprowadzić do punktu jedynie logicznego. Zniszczyć to, co zasługuje na litość. Wszystko bowiem, co skomli, psuje harmonię triumfalnego hymnu życiowego. A człowiek tyle wart, o ile zajmuje w tym chórze mądre i wygodne miejsce. Więc masz rację, droga moja! Powinnam raczej cieszyć się odzyskaną swobodą, ile że będę obecnie miała prawo...

Właściwie – do czego?

Zdaje mi się, że właśnie teraz będę musiała zmieniać nawet taktykę mego upajania się i wyrzec się wielu bardzo ładnych koncesyjek i ustępstw, które do tej chwili umilały mi jako tako życie. Piszesz mi, iż teraz mogę zrobić **dobrą partję**, jeśli umiejętnie wezmę się do dzieła. Zapewne, to nawet jest wskazane dla mnie ze względów finansowych, bo żyję ciągle z kapitału, którego resztkę wspaniałomyślnie wydzielił mi adwokat pana Bohusza. Myśląc o tem wszystkim, trochę wzdycham, choć staram się o ile możności zawodzić triumfalnie na czele zadowolnionych chórów życiowych. Wczoraj jednak, wracając właśnie z dodatkowych zeznań, spotkałam Sitnickiego – wiesz, opowiadałam ci o nim. Jego zapędy w moją stronę miały nawet

pewien wdzięk, bo od czasu do czasu nadawał im pożyłość jakiegoś idealnego rozmarzenia. Przez dwa wieczory czułam, iż byłam dla niego niebezpieczna, bo ową poezję brał na serjo i nawet ja musiałam, choć z żalem, zrezygnować z mego upojenia i (dobra duszka) powrócić nas oboje do równowagi. Uczyniłam to zapomocą wyprobowanego gestu. Zastłaniam oczy jedną ręką, drugą, trochę drżącą, daję jakieś nieokreślone znaki.

I mówię szeptem:

– Milcz pan! Nie wolno mi tego słuchać!

Zwykle odnosi to wręcz przeciwny skutek. Atak staje się silniejszy i bardziej wzmocniony. Wtedy ja z mej roli walczącej ofiary przechodzę w jawnie stojącą nad samą przepaścią. Zrywam się i wołam urywanym głosem:

– Idź! Idź!...

Rzucam się ku drzwiom sypialni, za którymi niknąc, odwracam się (bardzo ładną linią) i posyłam ręką pocałunek.

– Jest to ostatni – idź!...

I ginę – zamykając drzwi demonstracyjnie na klucz...

Scena taka doskonale robi. Indjanin jest wzburzony i niewymownie rad ze siebie, czując się niebezpiecznym. Ja jestem *seine et sauve* i mam znów pretekst do dalszego ciągnięcia stosunku. Zwykle bowiem witam indjanina, „jak gdyby nic”... i rozmawiam z nim obojętnie, siłąc się jakby na wytworną grzeczność. Tem derutuję go zupełnie i podniecam do ponownej sceny, która nadzwyczaj szybko ma miejsce...

Dopiero w tej chwili opamiętuję się, że odkrywam przed

tobą moje tajemnice. Ale trudno. Listu nie będę niszczyć, a potem szło mi o to, aby przedstawić ci mój ubiegły stosunek do Sitnickiego w odpowiednim świetle. – Niestety! Piszę „ubiegły”, bo właściwie będzie to już ubiegła, uciszona rzecz. Czuję to doskonale. To tylko sprawdza, jak bardzo przecucia moje się sprawdzają. Spotykam tedy Sitnickiego. Bardzo się rozłocił, widząc mnie z daleka. Szybko spojrzałam do szyby wystawowej, czy jestem *en forme*, i wyciągam rękę ruchem miłego kota.

– Zgadnij pan, skąd idę?

Halski powiedziałby beczelnie: „z randki”. Sitnicki jednak przysłania oczy siatką rżęs i milczy.

– No... zgadnij pan!

– Nie wiem. Z parku, z kościoła...

(Uważasz, nastrój delikatny).

– Myli się pan, ale w części. Powracam nie z kościoła, ale z kapituły.

– ?...

– Tak. Wydano mi tam wyrok rozwodowy. (Kłamię, ale umyślnie. Chcę bić od razu w największy dzwon).

– ?...

– Nie wierzy pan?

– Proszę pani – wszak rozwodów niema w naszym kościele.

– Ale są unieważnienia małżeństwa. – No, więc unieważniono moje małżeństwo.

– Z panem Bohuszem?

– A z kimże? Więcej mężów nie miałam.

I dodaję z całą perfidją:

– Dotychczas.

I patrzę mu prosto w oczy. Chcę na tej ładnej twarzy, która się tak umie mienić w chwili pożądania, zobaczyć jakąś radość, coś z mogącej się ziścić wreszcie nadziei.

Subtelnie rzeczy biorąc, jakby jakieś rozczarowanie przesuwają się pod skórą.

– A!... A!... Należy zatem powinszować pani!

Przyjmuję to powinszowanie.

I w jednej chwili czujemy oboje, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. To powinszowanie zamknęło w sobie wszystko. Ekstazy i konieczne ich wyniki. Wszystko pryskało cichutko. Mimo to wymówiłam prawie machinalnie:

– Będę teraz na wydaniu!...

Śmiałam się trochę złośliwie. Postanowiłam rzucać to zdanie teraz w oczy każdemu z mych partnerów. Wbiłam swój wzrok w jego twarz. Uczułam, że przesunął się po jego ustach jakby wyraz niesmaku. Usiłował jednak stanąć na wysokości sytuacji...

– Będzie pani w trudnej sytuacji...

– ?...

– Tak. Bo panna jest bardziej nieobliczalną, niż mężatka, a mniej znów od mężatki oblicza.

– Czyli że...

Czułam, że nie wie, jak wybrnąć z aforyzmu, który gdzieś

wyłowić, a zastosował jedynie dlatego, aby ot coś powiedzieć.

Na szczęście nadjechał automobil, zatrąbił, zaryczał, otulił nas wonią pranych rękawiczek i zdawało się nam przez chwilę, że jesteśmy w Nicei. Pospiesznie zaczęliśmy się żegnać.

– Do widzenia!

– Pani w którą stronę?

– W przeciwną.

– Ja także!

I już nas przed sobą nie było.

Tylko – wiesz – pocałował mnie w rękę. I to pocałował uczciwie, solidnie, jakby jakąś mamusię, albo coś w tym rodzaju. Z przyzwyczajenia odwróciłam dłoń, podsuwając ten płateczek ciała, który tak ładniutko pachnie przy zapięciu rękawiczki. Indjanin złożył pióra, strząsnął je zupełnie. Był dobrym znajomym, niczem więcej.

Nawet nie było i śladu choćby *amitié amoureuse*. Dziękuję! Jeśli tak dalej pójdzie! Wiem – dla pocieszenia powiesz mi, że mam w perspektywie owo zamążpójście z możliwą sytuacją moralną, materjalną *et tout le tremblement*.

Ha! No!... Zapewne i to coś znaczy, zwłaszcza, że niema nic innego w możliwości. A więc trzeba płynąć w tym kierunku i przypomnieć sobie sposoby i sposobiki z moich lat panieńskich. Wtedy to na wdzięczne dekolciki i wabne linje spódniczek złowił się pan Bohusz. Wydała mi się ta ręka złotołuską i tylko troszkę mnie to dręczyło, że zdawał się wstępować w owo małżeństwo z pewną niedbałą nonszalancją. Miałam wrażenie, iż mówi sobie

na wzór jednej z postaci Plauta: „Nie trzeba wybierać pomiędzy kobietami – wszystkie są nic warte”. I brał mnie jako pierwszą lepszą z brzegu. Może być, iż moje lat ośmnaście i rozkoszny zapach mej młodości grał tu dużą rolę, wspartą dekolcikami i opiętymi sukienkami. Dość, że było coś, czego teraz będzie trudno użyć za przynętę. A może... połączenie heliotropu i *sweet pea* zastąpi! Nie, nie sądzę. Kto wie, może piękny Sitnicki miał rację, mówiąc, że panna jest bardziej nieobliczalną od mężatki, tylko mniej od mężatki oblicza... Tylko żeby obliczać było co!

Twoja

Rena.

List siódmy

Ciągle mnie gromisz za to, że tak **lekko** biorę całą sytuację. Ależ na Boga, czegoż pragniesz, niewiasto cnót pełna? Śmieję się, szuję, ale do ciebie. Nawet przed Kryszałowiczem, moim adwokacina, mówię o wizytach moich w kapitule z należnym respektem. Nie mówię nigdy „rozwód”, tylko „unieważnienie małżeństwa”, skoro postanowiono, że to nie obraża przysłowia o nierozwiązalności tego węzła, którego w niebie trudnią się specjalnie zawiązywaniem kunsztownem. Każesz mi cierpliwie czekać na los i zachowywać obecnie *decorum* bardziej, niż kiedykolwiek. Zakazujesz mi przyjmować sam na sam mężczyzn i radzisz wziąć „przyzwoitkę”. Hm! Ciężkie to są warunki i jakże chcesz, ażebym doprowadziła któregoś z tych panów aż do takiego ogłupienia, iż zaofiarowałby mi swą rękę, jeżeli nie będę mogła używać do tego odpowiednich środków. Zapewne mogłabym pogodzić to wszystko, znalazłszy „przyzwoitkę” na tyle *effacée*, że zgodziłaby się zająć stale miejsce w odległym pokoju i w razie jakichś nadzwyczajnych objawów wnosić lub unosić swoją obecność do salonu. – Musi być trochę ślepa, trochę głucha – tyle, ile matka kokietującej i walczącej o męża panny na wydaniu. Zarazem winna znaleźć się „w kropce”, gdy tego sytuacja będzie wymagać, umieć się stać klasycznym świadkiem. Należy także, aby sama dużo przeszła i dużo już kochała. Z tego wynika: musi być brzydka jak osiem czy

siedem grzechów głównych. Tak – brzydka i to nie tylko powinna się dużo kochać, ale powinna być bardzo kochaną. Otwierasz oczy! Brzydka? Właśnie. Miłości najtrwalsze i najgorętsze są te, w których kobieta jest brzydka. Heluś! Pomyśl... wszak jesteś brzydka. Co innego, że jesteś urocza. Ale jesteś brzydka. Wiesz o tem. A kto jest najwięcej kochany? Kto? Właśnie ty, kocie, troszkę dziobaty i chudziutki! Czy ja z moją twarzyczką kamei i moją wybująłą, wyniosłą postawą choć w setnej części byłam tak kochana przez mego pana Bohusza, jak ty przez twego pełnego gracji i urody męża? Jestem nawet przekonana, że gdybyś popadła w sytuację tej, której „unieważniono” małżeństwo, gdzieś, w kąciku, raz dwa znalazłabyś sobie znów pełnego gracji i szyku męża, który nosiłby cię na rękę i ciągle ci powtarzał, że miłość twoja dla niego jest łaską i dobrodziejstwem. I nie potrzebowałabyś się nawet uciekać do arsenału moich tajemniczych środków, które zaczynam powoli gromadzić dokoła siebie i przygotowywać. Pytasz mnie, co słyhać z Halskim? Ten głównie cię interesuje. Zasłużył nawet u ciebie na miano dobrej partji. Zapewne. Majątek osobisty niezły – no i ta profesura na uniwersytecie trochę splendoru i szyku w sferach tarzających się w kulturze. Ja to sobie mówię także od dni kilku. Przedtem Halski miał u mnie inne **fony**. A więc przedewszystkiem tę bujną męską urodę, która nie zgadza się z usposobieniem mola bibliotecznego, jakim jest podobno. Mówię, podobno, bo Halski cudownie przystosowuje się zawsze do mnie, dobierając z chwilą przestąpienia progu mego salonu

ton, w jakim mnie znajduje. Z jego rozmowy poznaję doskonale, że ma przedziwne doświadczenie w postępowaniu z nami, kobietami, ale ma zarazem ten słodki takt, że nigdy o tem nie mówi. Jest w rozmowie przepysznie misterny i subtelny, a czasem znów wybuchają jakąś żywiołową jakby nienawiścią ku nam, kobietom. Gdy mówi, czuję w nim nie opowiadacza, ale... kochanka.

Tak, Helu! Kochanka!... Uspokój się. Kochanka – męża. O czem innem przez umysł nie przesunie mi się nawet nitka pragnień. Zwłaszcza teraz. Klamka zapadła. Zdaje mi się nagle, że ot siedzę w jakimś rozczarowanym zamku, na wyniosłej skale, strzeżona przez cały legion dragonów. Są oni w czarnych szatach ludzi, którzy utworzyli prawa rozmaite, i z tych tablic, na których wypisano, co mi wolno, a czego nie wolno, utworzyli mur, poza który nawet Halski nie byłby w stanie się przedostać.

Chyba – z obrączką na palcu. Lękam się tylko, Heluś, lękam bardzo, czy nie będzie to troszkę trudno. Spróbuję. Znam go cokolwiek. Wiem, że jest próżny. Umiem brać go na to, iż mówię z nim o nim samym. Przytem znam jeszcze jego rozmaite małe słabostki. Nieraz dostrzegłam płomień, wielkiej, prawie zwierzęcej namiętności w jego oczach, gdy roztoczyłam przed nim nagle cały wdzięk mej kobiecości. Więc może tędy będzie droga. Ale nie lękaj się, ażebym, podżegając ogień, sama w nim nie spłonęła. Nachyl no swe uszko. Powiem ci prawdę. Oto Halski wydał mi się w takich chwilach **brzydki**. I tem mnie odstręcza i trzyma na uwięzi. Bo gdyby był tak piękny, jak wtedy,

gdy subtelnie, delikatnie zajmuje mnie swą błyszczącą, spokojną rozmową, gdyby i w takiej chwili...

No, Heluś, na gwałt szukałabym „przyzwoitki” i umiałabym ją osadzić nie tylko w sąsiednim pokoju, ale nawet w samym salonie.

Szczęściem, że ciemne, fioletowe oczy Halskiego, tak bezdenne, tak czarujące, pełne fluidu, gdy jest spokojny, pokrywają się jakąś szpetną białą mgłą w chwili pożądania. I twarz cała prawie starzeje się, ztraca czar i urok przepastnych Van Dyckowskich twarzy.

Wyobrażam sobie, co musi być w... dalszym ciągu. Nie! Heluś, nie – możesz być o mnie zupełnie spokojna, tak, jak ja o ciebie jestem spokojną. I daj mi swoje dobre, kochane usta.

Twoja

Rena.

List ósmy

Żądasz ode mnie rzeczy nadzwyczajnych, Helu. Chcesz, ażebym przerobiła z gruntu mój charakter. Wmawiasz we mnie zasadę słodką i bezpożyteczną: **Siedz w kącie – znajdą cię.** Na razie muszę siedzieć „w kącie”, a to z powodu, iż mój adwokacina każe mi być na każde zawołanie, twierdząc, iż mogą mnie jeszcze zawezwać na jakieś dodatkowe zaprzysiężone kłamstwa. A ponieważ Watykan nie miewa swoich filij ani u wód, ani u żadnych uzdrowisk, więc czekam, siedzę w kącie i piszę do ciebie... A propos – pytasz mnie, dlaczego nazywam mego adwokata adwokacina? Ależ Helu – dlatego, że jest to mężczyzna, **który się nie liczy.** Nie dlatego, że się ożenił z interesu i wskutek tego dla salwowania swego dostojęństwa manifestuje skandalicznie swą miłość do żony – nie dlatego, że zaprowadził w swej kancelarji telefon „domowy”, który łączy go nierozzerwalnie z sypialnią małżeńską, nie dlatego, że – ach! już nie wiem, jakie tam „nie dlatego” – lecz dlatego, że tak ostentacyjnie i szybko zrezygnował ze swego temperamentu cholerycznego, którym poprzednio podbijał wcale pokąźną ilość kobiet. Obecnie mój adwokacina tak z *du jour au lendemain* stał się mężczyzną wesołym, łagodnym, a co najgorsza, Helu! tym, który nie ma przeszłości. Nie przeocz, Helu, mówię przeszłości. Razem z krawatkami cokolwiek szykownymi, które lubił dawniej, zawiesił na kołku

swą przeszłość. I dziś, wyobraź sobie, my, które potrafiłyśmy podniecić ogniem naszych spojrzeń temperaturę trochę zimnej kancelarii pana mecenasa do temperatury komnat Safony, która rozumiała tylko miłość w połączeniu z szaleństwem namiętności, jesteśmy mu obojętne! Co? Helu? Otwierasz szeroko twoje oczy? – No, tak – możesz być pewna, że doszłam właśnie do perfekcji w wywoływaniu podobnego złudzenia. Mężczyzna, rozmawiający ze mną, jest tak **na odległość** omotany przezemnie powabem namiętnych mych słów, spojrzeń, półuśmiechów, nawet umiejętnie zastosowanych poruszeń ciała, milczeń, iż zwolna wytwarza się dokoła nas cudowna atmosfera zmysłowa, tem silniejsza, iż połączona właśnie z niemożliwością choćby śmielszego gestu ręki, choćby zbliżenia się pozornego. Anatomicznie rozbieram wtedy objawy miłości, staram się jakby odkrywać zasady nieznanne – wszystko to niby nagle, niby pod wrażeniem chwili i fluidu, który płynie ku mnie. Gdy czuję, że po tamtej stronie rzeki huragan rozpęta się lada chwila, zawieszam głos, czynię artystyczną pauzę i zaczynam mówić o rzeczy banalnej, płaskiej i pozostawiam mego partnera w niepewności, jaki to rodzaj ognia słodko udręczał go przed chwilą. Byłaż to wyobraźnia samorzutna, wyobraźnia „Fabia”, pochłaniająca objawy zewnętrzne i wcielająca we własną substancję „na korzyść własnej namiętności” – czy raczej ta, która się żywi „własną passją” i jest poprostu, według Stendhala, smutnem widowiskiem...

W każdym razie – po tamtej stronie brzegu panuje niepokój

i wielki brak naturalności, ja zaś zachwycom się swoją własną zimną krwią i dystynkcją, którą przestaję czuć i myśleć, jak rozpassjonowana i na brzegu upadku (!) stojąca kobieta, a jestem jak ta, która nie wie nawet o istnieniu miłości namiętnej i jej czarujących skutkach.

Taki oto był stopień naszego **piękna idealnego** w stosunku moim do mego adwokaciny przed jego ślubem. Lubiłam te konferencje i przedłużałam je. Czy mam być szczerą? Obiecywałam sobie z jego małżeństwa wiele. Daję ci słowo. Sądziłam, że właśnie teraz nadejdzie chwila prawdziwego wzięcia się na smycz, że tak powiem, i wypromieniowywania ku sobie podwójnie wzmożonych chęci, przygwożdżonych niewolą. Tymczasem pan adwokat trzyma się bajecznie. Obstawił biurko fotografiami swej damy i spoziera ku nim, a od czasu do czasu poskakuje do telefonu, przepraszając mnie z godnością. Widzę, iż na jakie dwa, trzy lata należy pogrzebać go na wzór fakira i zasiać na jego grobie grzędę tulipanów. Niech spoczywa. A ja tymczasem, naturalnie zmieniam taktykę i bardzo się zajmuję jego żoną, podróżą poślubną, i to bez cienia jakiegś aluzji... tego... rozumiesz. Szybko zorientowałam się, jak i co. Rozmawiamy na zimno. Komnaty Safony zamknięte na wielkie wrzeczadze.

Tylko mnie to nudzi.

I trochę nim pogardzam.

Bo – niby cóż to jest właściwie, co mam przed sobą?

Adwokacina.

Tak, Helu.

Twoja

Rena.

List dziewiąty

Znów pytasz o Halskiego? Chcesz wiedzieć? Nie widziałam go. Przyczyna? – Oto wyjechał, rozumiesz mnie? Wyjechał do Warszawy. Dowiedziałam się o tem od Maryli, którą spotkałam wczoraj na ulicy. Zatrzymuje mnie i mówi: „Twój Halski wyjechał”. – Zrobiło mi się tego ten – rozumiesz... o! ale bardzo mało. Ale zaraz odpaliłam: „Jako – mój”? – Robię minę pełną godności. Nie lękaj się. Ja wiem, że należy nawet cień ze siebie strącać. I patrzę na nią – wiesz – temi mojemu niedobremi oczyma, któremi potrafiłam w ostatnich czasach uprzyjemniać panu Bohuszowi obiady rodzinne. Ona zmieszała się trochę.

– No... mówię dlatego, ponieważ wszyscy wiedzą...

– Co?

– *Qu' il te fait la cour.*

(Czy zauważyłaś, że jeśli się chce powiedzieć jakie bezceństwo, albo osłodzić jaką pigułkę, to najczęściej mówi się to po francusku).

– A więc?

– *Qu' il te fait la cour.*

Wstrząsam lekko ramionami. Ona zaraz szybko dodaje:

– Ach!... *pour le bon motif...*

Aluzja do mego rozwodu i możliwości wyjścia za mąż.

Dystyngowanie uśmiecham się słodko-kwaśno.

– Jakże mogłoby być inaczej.

Maryla, która także często otwiera komnaty Safony, a lękam się, czy nie jest na punkcie zgubienia do nich klucza, przeraża się.

– No... ależ tak... tak...

– Więc cóż ten Halski?

– Wyjechał.

– Gdzie?

– *Nach Warschau.*

Widzę, że jej okrągła bródka dygoce. Ma ochotę powiedzieć mi coś przykrego.

A ja mam ochotę to usłyszeć.

– Po co?

– No... z odczytem.

– A!

– Ale i...

– No... no...

Z pruderją usta sznuruje. Wiem, że to będzie coś z szóstego przykazania.

– Bo... Halski ma tam stałą metrese.

– Co?

– No... kogoś... jakąś damę.

Całą siłą woli jestem zimna i nieposzlakowanie zacna.

– Moja droga – taka istota przedewszystkiem nie może być damą...

– Przepraszam cię, mówią, że to zupełnie uczciwa osoba...

– Skoro to mówią, to już nie jest uczciwa. O mnie, o tobie tego nie mówią, bo jest to rzecz tak pewna, jak się nie mówi, że

o świecie słońce wschodzi. Ta osoba nie zasługuje na to, abyśmy się nią zajmowały.

– Tak, my... ale Halski?

– Ach, moja droga, i on w takim wypadku nie zasługuje na zajmowanie się nim.

I mrużę oczy.

I mówię:

– Niezły twój turban! Gdzie kupiony? Czy sprowadzony?...

Ale ona nie daje za wygraną.

– Bo widzisz – ciągnie już rozzuchwalona – Halski to jest właściwie rozpustnik.

– ?...

– Tak. Wiem, jakie wyznaje zasady.

– Mówi zawsze, że dla niego kobieta zaczyna być kobietą dopiero od tej, która choćby raz upadła.

– Nic podobnego nie słyszałam z ust tego pana.

(Kłamię, bo mówił mi to rzeczywiście niezliczoną ilość razy).

Ale dodaję z uśmiechem:

– Widzisz więc, że jeżeli ta... pani... w Warszawie...

– Ta jego metresa?

Oglądam się dokoła.

– Pst! Nie mów tak głośno takich wyrazów. – Jeżeli więc mówię, ta pani go rzeczywiście pociąga, to w takim razie musi być z nią tak, jak ja przed chwilą mówiłam.

– To jest...

– Nie może być uczciwa. Musiała bowiem (prawie szeptem):

– Upaść...

– No tak... ale z nim.

– Więc?

– No to...

I Maryla sama nie wie, co powiedzieć.

Nagle dodaje bardzo szybko:

– A kto wie... może pomimo to być bardzo uczciwa.

Tu już – rozumiesz, Helu – naprawdę się oburzyłam. Jak widzisz, mam rację, pisząc, iż Maryla jest na drodze zgubienia klucza do komnat Safony.

– Nie rozumiem cię! – mówię z wyniosłym chłodem, który naprawdę pochodzi z głębi mych niewzruszonych przekonań. – Czy usprawiedliwiłabyś kobietę, mogącą się zapomnieć aż do **tego stopnia?**

Na pucołowatą twarz Maryli wybiega rumieniec.

– Skoro kocha...

Jest komiczna, bo silnie zapudrowuje swoją dawno przekroczoną trzydziestkę. A wymawia tak nieśmiało, tak jakoś dziwnie to „skoro kocha”...

Mam właściwie ochotę parsknąć śmiechem, ale to jest mgnienie oka. Oburzenie moje wzrasta. I to naprawdę, Helu. Tak we mnie coś drga, coś nerwowo drga. Gdy zaczynam mówić, nie poznaję mego głosu. Brzmi twardo, jakby ktoś siekł kwiaty szpicrutą.

– Nic nie usprawiedliwia kobiety z podobnego kroku. Nic. A miłość tembardziej. Skoro kocha, więc kocha bez skazy.

Rozumiesz mnie, Marylo?

I szybko, wyniośle odchodzę od niej, bo czuję, że nie powiem nic więcej, że coś ze mnie, z mego serca, wypęła i dławi mnie. Nie chcę bowiem dyskutować o formach namiętności w tej właśnie chwili. Czynię to chętnie, ale z mężczyznami i gdy mi to przynosi pewną miłą sensację – tak, bezużytecznie wznieca we mnie to tylko gniew, jakiś bezrozumny prawie...

Lecz – przeciw komu?

Czy przeciw Maryli, czy przeciw tym dwojgu tam w Warszawie? Właściwie nie powinnam nawet myślać ku nim podążać. To mnie już kała i dręczy. Są to czyste objawy zezwierżenia, a tylko obłudnicy wmawiają w otoczenie, iż jest to godzina Cudu i tym podobnemi fioriturami upiększają najszpetniejsze zbrodnie przeciw anielskiej linii naszej, kobiecej Piękności. Pomijam już Dostojność skromności kobiecej, dalej Majestat nieskalanej cnoty, która jedna rzeczywiście musi stanowić istotny czar i urok w miłości. Ci, którzy mówią inaczej, czerpią swe argumenta w samolubnej rozpuście, w niczem więcej...

Tak muszą rezonować w tej chwili Halski i ta jego metresa.

Z jakąś dziką nienawiścią piszę te słowa, Helu...

Ciekawe. Nienawidzę w tej chwili Halskiego. Tembardziej, że muszę go wykreślić już zupełnie z listy możliwych kandydatów do mej ręki...

Cofam się zatem w cień i – czekam.

Fatalne!

Twoja

Rena

List dziesiąty

Co? Każesz mi właśnie walczyć? Mówisz, że tą moją cnotą zwyciężę? Ależ, Helu, na to trzeba kochać, a ja go nie kocham. Nie rozumiem, dlaczego tak koniecznie chcesz mnie wydać za tego mizernego profesorzyne, nie bardzo tak znowu błyszczącego intelektualnie, rozpustnika i o niepewnym charakterze. Przyznam ci się, że nic mnie do niego nie pociąga, a ta jego piękność fizyczna tak z oddalenia wydaje mi się nawet problematyczna. Odkrywam w jego twarzy doprawdy stygmaty tej nieokielzanej zmysłowości, jakby zastygła pod maską, która musi w danej chwili przekształcić jego śliczne greckie rysy w szpetotę maskarona jakiego średniowiecznego tumu. I nie winszuję tego **objawienia** owej metresie, więżącej go już cały tydzień tak silnie, że nawet ani słowem się ku mnie nie zwróci. Najlepiej zatem zrobisz, nie pisząc mi o nim wcale. – Drogi moje i jego rozchodzą się zupełnie. Ja patrzę w słońce i gwiazdy, on czołga się po ziemi...

A więc przestaje istnieć dla mnie.

Wyobraź sobie – Ali Kaswin zasypuje mnie kwiatami i sonetami. Właściwie powinnam być z tego więcej niż rada. To jest mój *genre*. Słodki zapach tuberoz, przystrojonych w bladolila papiery, wita mnie co ranka. Często dołączony bywa sonet. W mussetowskim stylu. Chcesz? Ostatni.

Proszę, niech Pani przyjmie jeszcze raz te kwiaty.
Żal mi, żem Panią wierszy mych czytaniem męczył,
I odkąd list od Panim dostał, myśl mnie dręczy,
Że nie prędko Pani salon, cudny, popielaty

Ujrzę utkany jasno w wzorzyste makaty
I ciche sny złociste, by z siatki pajęczej...
Pozwól, niech, gdy tam jutro jak ten pazik z Tęczy
Znów przyjdę Cię przeprosić z racji czasu straty

I żegnać – niechaj zostanie Pani po tej chwili
Pamięć. A gdy odejdę, niech Ci, Pani, w ciszy
Kwiat ten opowie wszystkie mego życia bole...

Może – gdy Pani czasem nad nim się pochyli,
W tym kwiecie Pani cichej skargi ton usłyszysz

.....

Weź Pani go – i postaw u siebie na stole!

Ot – cacko! Jak i ten Ali. Delikatne chłopię o wielkich, szafirowych oczach. Sądziłam, że już takiego coś niema na świecie, zwłaszcza w obecnym społeczeństwie. I patrz – jest. I patrz – przyplątało się to do mnie, smukłe, ciche, bardzo nie kabaretowe, piszące poezje i kochające nie mnie, ale **potrzebę kochania**. Przyglądałam się temu ze zdziwieniem i pewnym nabożeństwem. Tak się to rumieni pod moim wzrokiem, choć, daję ci słowo, nawet używam ten wzrok „na codzień”, bez żadnych domieszek. I nigdy przy Alim nie potrączę o oddrzwia

komnat Safony. Bo to niepotrzebne. On i tak cały płonie, jak ten stos ofiarny. Gra we mnie często przekorna chęć wydobycia z niego ohydnych jakichś strun, które przecież musi mieć na dnie. Ale siedzi ciągle przedemną w ekstazie, jakby miał jeszcze mundurek studencki, i mówi:

– Pani jedna... pani...

Brakuje więc mandoliny.

Co?

Właściwie czego ja chcę? Taki Kaswin to dla mnie. Taki Halski to dla tamtej, do której pojechał. Każdy ma to, na co zasłużył. Ja hołd delikatnej, nadzwyczajnej jakiejś miłości – ot, trubadura Bertranda d' Alamansa, a tamta zniewagę zwierzęcej, namiętnej obelgi rozpustnika.

Tylko – to pięknie. Tuberozy, sonety i inne odmiany księżycy, ale tu chodzi właściwie o coś konkretnego. O to **małżeństwo**...

I czy wiesz, Helu, Ali wczoraj padł mi do nóg i prosił, ażebym „czekała” – bo on zdobędzie pozycję i wtedy ożeni się ze mną.

Na teraz jest koncepistą w namiestnictwie i z pewnością na te tuberozy czyni srogie wydatki i zadłuża się.

A ja mam czekać!

Aż on będzie mógł uklęknąć u wrót świątyni, w której zamknął swe Bóstwo, treść swego życia, essencję czystej, nieskalanej miłości i wielkodusznej dumy.

Tem wszystkim jestem ja. Uważasz! Romantyzm nie wyginął zupełnie. Widzę, jak błąkają się po świecie takie cienie Don Kiszotków i szukają koniecznie pretekstu do łzawej a

uśmiechniętej miłości. Tylko szkoda, że to nie idzie w parze już z pewnymi solidnymi latami i z pewną ustaloną pozycją socjalną.

Skoro te dwie doskonałości wkraczają w życie ludzkie, cała reszta, to jest biel, piękno, poezja, tuberozy, sonety i t. d., giną, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

A natomiast...

Och! Natomiast występuje taki Halski i jego namiętność i jego zasady co do wartości kobiety...

– Smutne to, Helu – powiadam ci – więcej, niż smutne.

I dlatego należy mi się obejrzeć już za czems istotnie podstawowem, czems, coby mnie doprowadziło do pewnych, solidnych rezultatów.

I nie gniewaj się, że list ten może trochę nie – tego – ale dziś mi tak jakoś dziwnie. Może ten Ali siedział za długo. Mówi tak cicho i tak monotownie. A potem jestem rozdrażniona niezrozumiale... Nie wiem, co mi jest. Muszę trochę odświeżyć swój salon. Zacznę bowiem przyjmować więcej osób. – Trzeba, Helu! Trzeba!

Twoja

Rena.

A propos. Napisz mi, gdzie kupowałaś twój bujający fotel? Muszę kupić sobie taki sam i pół tuzina jedwabnych, ażurowych pończoch, takich, jak ma Matowska w *Dziewczynie z fiołkami*.

List jedynasty

Znów mnie karcisz w swym liście. Piszesz, że raczej czekać winnam na owego zbawcę w postaci przyszłego małżonka z rezygnacją cichą i spokojną panienek bezposażnych i mających mało nadziei. Tak – zapewne. Ale **owe** panienki mają więcej odemnie czasu, a przytem może nie przesunęły się nigdy przed ich „jaźnią” pojęcia trochę gorące, wymówione ustami takich Halskich, o namiętym rysunku ust.

Każesz mi, aby i nadal moje sprawy odnosiły się do drobnych jeno afektacyj, jak mawiał miły Kardynał Laute. Widocznie masz przekonanie, że drobne strumyki wytworzą rwący potok. Widzę, jak przerażona podchodzisz z tym listem do światła. Sadzisz, że przeczytałeś błędnie jakieś słowa odnoszące się do mnie. Uspokój się, miła, to tylko taki wieczorny uśmiech w stronę rzeczy niedozwolonych, mały, ledwo zaznaczony *Kratzfuss* ku temu, co mnie ani ciągnie, ani porywa – ale może, może **za-cie-ka-wia**.

Voilà tout.

Zresztą winien tej ciekawości Halski. Wszak on kiedyś piał hymny na cześć namiętności, twierdząc, iż ona jedna jest zajmująca, ponieważ w niej są rzeczy nieprzewidziane. Nie myślałam o tem, przeleciało to mimo mnie, jak tysiące jego słów w tym rodzaju, lecz widocznie pozostało w mej podświadomości. Bo nagle dziś dzień cały mam przymusowo w umyśle to słowo

zakazane i mnie i tobie.

Namiętność...

Zacznę więc o czym innym.

Dziś dostałam od krawcowej nową bluzę czarną z wielce ciekawą wkładką z cieniuchnego tiulu. Powiadam ci, gors, ręce, ramiona – nagie. Cudowną mamy wreszcie okazję nie chowania światła pod korcem i należy z niej korzystać. Cóż? Kiedy krawcowe mają manje **rozdźniać** – i oto moja podłożyła mi przyzwoitkę z czarnej tafty, bardzo niesympatyczną. Ale od czegoż nożyczki? Szybko puszczono je w ruch i powstała ze mnie bardzo urocza madame Recamier na czarno, podczas gdy kochanka Chateaubriand'a była na biało. Ona także była *sans reproche*, jak ongi Bayard, tylko na innym terytorjum. A więc jeśli ujawniano tę część wdzięków za czasów Napoleona, dlaczegoż nie można za czasów prezydenta Neumana? Wyszłam tedy na ulicę, niosąc przed sobą z niedbałym wdziękiem to, co Salomon nazywał:

Sarneczki dwie bliźnie.

W liliowym co pasą się lesie...

Akcentowałam jeszcze ich piękność, rzucając oświetlenie purpurowej parasolki, przez którą królewsko przelewało się słońce. Lecz cóż!... Miasto wymarłe, puste, słomianych wdowców garstka po biurach.

Słowem – rozpacz.

Należało jednak komuś zaprezentować pieśń nad pieśniami za tiulową zasłoną i za to chyba mnie ganić nie będziesz. Prawda? To jest pragnienie zupełnie w moim położeniu słuszne. Pomyślałam: zejść do Namiestnictwa, odszukać Alego, udać jakąś ważną sprawę, narobić rumoru między nadętymi, a bardzo szczudłowatymi ekscellencjami, ale dałam spokój. Nienawidzę biurokracji, nawet jako przedmiotu chwilowej rozrywki. Pozostał mi więc adwokacina.

Z szumem (bo ja nie pozbędę się nigdy denerwującego szumu jedwabnych *dessous*), wtargnęłam do kancelarii. Pił właśnie wodę sodową i przykładał sobie do skroni chustkę, zmoczoną w tejże wodzie. Na biurku przybyły dwie fotografie żony, jedna szkaradniejsza od drugiej. Szczególna była jedna z niech, profilem ujawniająca nadzwyczajny, kaczy nos tej damy. Natychmiast narzuciłam się na nią z żarłocznością wampira. Zaczęłam podkreślać piękność „drobnego, klasycznego noska”. Czyniłam to z najniewinniejszą minką. On potakiwał, lecz widziałam, że wrzał całą chęcią wydarcia mi nosatej fotografii z ręki. Rzuciłam słowa uwielbienia i jakby żalu z powodu tej wielkiej miłości, jaką widzę w nim dla niej, a w niej prawdopodobnie dla niego. I przytoczyłam z djabelskim uśmiechem (tak na lewo, wiesz) djabelski artykuł z kodeksu miłosnego z XII-go wieku:

„Małżeństwo nie jest wymówką dostateczną przeciw miłości”.

Skłonił się w milczeniu i zerknął w stronę domowego telefonu,

jakby lękał się, by stamtąd ktoś nie posłyszał tej, napozór niewinnej, ale troszkę podejrzanej rozmowy.

Bo – niezaprzeczenie – *c'est le ton* i t. d., a właśnie ja usiłowałam zastosować ten ton do... pieśni nad pieśniami, które w gorącu przybierały pod czarnym tiulem śliczną barwę różową, jakby ktoś przed mleczną kulą zaświecił nocną *veilleuse*'ę.

I nagle stała się rzecz niespodziewana.

Oto adwokacina zdobył się na jakiś krok, zbyt szybki, według mnie. Z całą atencją oznajmił mi, iż ma zamiar być u mnie w tych dniach ze „swoją małżonką”...

Schwyciłam sposobność w lot za włosy. Upiekłam przy jednym ogniu dwie kuropatwy. – Pierwsza – to niechęć do nudnej i bezpożytecznej znajomości. Błyskawicą przebiegłam korzyści z zawiązania stosunku z tym domem. Młode małżeństwo nie przyjmuje nikogo z mężczyzn solidnych i wogóle żadnych. Po cóż mi więc tracić czas i nerwy?

Dalej – druga kuropatwa – rzucenie wielkiego niepokoju pod doskonałym pretekstem w serce adwokaciny.

Gdy więc posłyszałam pełen szacunku anons wizyty, drgnęłam cała i przygryzłam usta.

Przez chwilę nic nie odpowiadałam, tylko „wbiłam” po swojemu oczy w syfon z wodą sodową i siedziałam tak, jakby martwa. Wreszcie odpowiedziałam cicho:

– Nie... nie...

Adwokacina zadziwił się tą całą aferą.

– Co – nie?...

– To... co pan mówił przed chwilą.
Lecz on tak „zdębiał”, że już zapomniał.

– Co ja mówiłem?

– Ta... wizyta...

– Nasza?

– Tak.

– Moja i Stasi – to jest... żony.

– Tak – właśnie.

– Dlaczego?

– Bo...

Wzrok jeszcze więcej w syfon wbity.

Ręce kurczowo zaciskają ramiona fotelu.

– Bo... **żony** pana...

Mówię bezbarwnie, matowo – umyślnie, aby wywoływać zapytania.

– Bo – mej żony? Nie rozumiem!

– A!...

– Więc?

– Pan **dużo** rzeczy nie rozumie i nie rozumiał...

Adwokacina zaczyna rozumieć, choć tępo.

– Na Boga... co pani... co...

Kręci medalion u łańcuszka od zegarka, w którym to medalionie tkwi pewnie trzydziesta pierwsza fotografia „żony”...

– Jaśniej tłumaczyć się nie będę.

– !...

– Nie nalegaj pan...

(Nie nalega wcale. Zapada w jakieś ogłupienie).

– Nie nalegaj pan! Zbyt wiele powiedziałam... Nie powinnam była... Ale czasem są takie chwile, że i duma opuszcza i sił brak...

(Ogłupienie przechodzi we wzruszenie. Widzę to, bo wąsiki migają, a oczka maleją. Ja bawię się cudownie).

Wreszcie „on” hazarduje.

– Błagam panią, niech się pani uspokoi.

(Jestem tak rozbawiona, że zapomniałam zupełnie, że powinnam być wzruszona w wysokim stopniu, biedactwo jednak widzi moje wzburzenie przez falę własnego zaniepokojenia).

Wzruszam się tedy.

– To nic... to nic... to przejdzie. Niech pan nie zważa... Tylko widzi pan – ta myśl, że pan zaraz chce mnie wprowadzić w towarzystwo żony swojej – kobiety, która... bezwiednie... zrobiła mi... tyle złego...

To już cios może zbyt silny – lękam się o to, więc porywam się, chwytam parasolkę, żałuję w myśli, że w pokoju nie mogę puścić na siebie czerwonego oświetlenia, i bez podania ręki kieruję się ku wyjściu.

On drepcze za mną.

– Pani! Pani Reno?... proszę... ja nie wiedziałem.

Namyślałam się, czy nie mam gdzie w zapasie jakiego efektownego słowa na „wyjście”, ale jakoś pusto mi pod czaszką z powodu upału. Więc tylko czynię doskonały gest ręką i nie

odwracając się, ginę za drzwiami wyjściowymi, jakby cień!...

A tam w kancelarji, przepojonej zapachem mojej „kombinacji” i mnie samej, przed syfonem wody sodowej siedzi adwokacina zdenerwowany, podrażniony, niepewny, z maluchnym robaczkiem w sercu, który powoli – da Pan Bóg – zamieni się w psychiczną ranę, a ta rozpocznie wysyłać na wszystkie strony swe zatrute promienie...

Bardzo to będzie zabawne.

Ale to dopiero w przyszłości! Tymczasem na dziś, coś fatalnego. Wracając – przyznaję ci się – byłam tak jakoś podniecona sceną u adwokaciny, iż czułam się bardzo *en beauté*. Wsiadłam do tramwaju, bo dorożki nie było w pobliżu. Zrobiłam maluchne wrażenie na jednej Dulskiej, która właśnie zajęta była kopertowaniem okien i wpychaniem do uszów kłębow waty, i na kilku mężczyznach i jednym podrostku. Również i motorowy porozumiewawczo spojrział na konduktora, co mi dało poznać, iż moje arystokratyczne piękno potrafi być ocenione przez wszystkie warstwy społeczeństwa. Ulokowałam się jak najdalej od Dulskiej, a najbliższej przystojnego mężczyzny, w trochę źle wyprasowanym garniturze z surowego jedwabiu. Usiadłszy, naszumiłam się dosyć taftą, nadzwoniłam brelokami, wreszcie zaczęłam **blyszczec** oczami, co jest moją specjalnością. Natychmiast pan w garniturze z surowego jedwabiu odpowiedział mi równem zabłyszczeniem źrenic. Były wielkie, siwe, cudownie oprawne – tak zwane „świńskie”. Nie uciekłam z mojemi, przeciwnie, bardzo zachęcająco

skrzyżowałam szpady. Zapanowała fluidyczna wymiana i ta zaczynała szybko wzrastać – ze względu na krótkość przestrzeni i czasu...

A teraz zasłoń oczy, o matko dwojga nieletnich dzieci!

Bo jakby torpeda, nogi mej, obutej tak czarująco w śliczny lakierek Louis XV., dotknęła noga, obuta w dość ładny i zgrabny, acz trochę *démodé* but z jasnożółtej skóry.

I dziw...

Jakby nie było ani lakieru, ani skóry – nic, tylko dwie bose stopy, rozpalone i drżące.

Tak, Helu! Tak, nie usunęłam swej nogi. Analizowałam tę sensację, której nie mogłam nigdy przecież odczuć w zwyczajnym trybie mego życia. Znasz moje zasady i wiesz, że nigdy nie dozwoliłabym na podobne zbliżenie ani Halskiemu, ani Alemu, ani nikomu z tych, którzy mi *ont fait*, albo *font la cour*. Ale tu ten człowiek nieznany, obcy, który nie miał nawet prawa przypuszczać, iż ja czynię to z całą wiedzą i umyślnie...

Zresztą – nie lękaj się. Nasyciwszy się wrażeniem, a czując, że zbliżamy się do stacji, na której muszę wysiąść, usunęłam nagle nogę, jakby budząc się z głębokiego zamyślenia.

I powiedziałam:

– A!... Przepraszam!...

Z tak ślicznym zakłopotaniem, że i on cofnął się i powiedział jak echo:

– A przepraszam!

Potem siedziałam zimna i obojętna, z przygasłymi oczyma,

gdyż naprawdę lękałam się, aby nie pomyślał sobie Bóg wie co.

Ale – *la sensation était très agréable*. Będę częściej jeździć tramwajem.

Twoja

Rena

P. S. I wiesz co? Oto przez cały czas owej sensacji myślałam... zgadnij – o... Halskim. No, tak!... Jestem szczerą. O Halskim!

To dziwne.

List dwunasty

Nie mam jeszcze od ciebie odpowiedzi, ale wiem, że za ten tramwaj dostanę od ciebie wspaniałą burę. Przyjmuję jednak pokornie, tembardziej, że mam ci jeszcze coś do doniesienia w tym guście. Tylko w tym. Nie lękaj się. Jest w tem jednak cień tragedji i to mnie trochę wyprowadzi z szaroty życiowej. Tragedja nie dotyczy mnie, ale Alego... Tak, tęsknego prowansalskiego trubadura, który codziennie przyciska dzwonek elektryczny moich drzwi wejściowych.

Otóż ten dzień wczorajszy śmiało zaliczyć mogę do dni **elektrycznych**. Nie wiem, czy zauważyłaś, że my kobiety mamy dnie tak zwane elektryczne. Jesteśmy wtedy naładowane siłą wzbudzania miłości z taką łatwością, że strach ogarnia. Rozsiewamy wtedy dokoła wrażenia, zdolne obudzić uczucie choćby chwilowe, choćby w guście Anakreona, a więc dla zmysłów, lecz bez jego strony umysłowej. Same także odczuwamy te drżenia i dreszcze, które od nas pochodzą – i tak w podwójnej rozkoszy przepędzamy chwile, które powinnyśmy doprowadzić jedynie do linii, łamiącej się w punkcie możliwego dla nas niebezpieczeństwa. Otóż w takim właśnie dniu, w którym cera naszej twarzy nabiera karnacji kwiatowej, oczy blasku gwiazd, ręce, nogi, paznogie, włosy piękności niezrównanej, ramiona powabu ramion Vittorii Colony, słowem, wtedy, gdy cała nasza istota dyszy urokiem kobiecości i wydziela ze siebie

prądy, zagarniające najbardziej opornych – otóż w takim dniu **ja** **byłam** **wczoraj**.

Każda z nas ma dzień taki! I ty, Helu, a ty nie wiesz o nim, bo nikt dokoła ciebie o nim nie wie.

Przeto i ty!

Zapytasz, skąd mi to przyszło?

Halski tak kiedyś mi mówił. Przeczyłam, śmiałam się. Ale dziś, gdy go tu niema, są przecież jego słowa... i... jakby jego mowa dookoła mnie.

Słowem, był to **taki** dzień.

Nad wieczorem miałam zamiar wyjść znów na miasto. Dusiałam się samotna i czując swą piękność, której nikt nie podziwiał. Promienie, wysyłane przezemnie uderzały w próżnię i wracały nie drżące, bez wibracji. Przeto mnie bolały.

I z prawdziwą ulgą powitałam nieśmiały dzwonek Alego.

Szybko wróciłam do sypialni. Narzuciłam na siebie śliczny szlafrok z delikatnej lila gazy, rozszywanej walensjenkami. Otula mnie i obnaża. Nie można być przyzwoiciej bezecną, jak jestem właśnie w tym szlafroku. Krawcowa chciała mi go podszyć, twierdząc, że tak kazała pani dyrektorowa, pani mecenasowa, bo ten fason był trochę za... za...

Ale ja zaprotestowałam i dla uniknięcia pogardy ze strony tych dam i krawcowej, twierdziłam, iż posiadam właśnie gotowe *dessous* z lila tafty.

Lecz dla Alego i w tym dniu nie wzięłam żadnego *dessous*.

Miałam je z różowego atłasu mego ciała, pokreślonego

delikatną siecią błękitnych żyłek...

Boże – *dessous* – najpiękniejsze, najbardziej odpowiednie.

Gdy wyszłam z sypialni, niosła mnie ta moja piękność ku krzakowi tuberoz, za którym ukrywała się twarzyczka Alego.

Ach, Helu! Potęp mnie po swojemu, po uczciwemu, jak materiał na matronę, ale wysłuchaj...

Gdyż – jak mówi Mulford – musimy koniecznie przenieść część swych głębi albo w czyjaś bluzkę, albo w czyjaś kamizelkę. To się nazywa wtajemniczenie przyjaznej duszy w nasze tajnie. Podobno bez tego ryzykujemy uduszenie się własną zbrodnią, albo własną cnotą. Nadmiar bowiem jednego i drugiego jest szkodliwy i nie dozwala żyć równo i umiarkowanie.

A więc, Helu, posłuchaj. Dzień ten awanturniczy, dzień ten, w którym doprawdy nie chodziłam po ziemi, ale jakby mnie coś dziwnego unosiło skrzydłami ponad ziemią, zakończył się dla mnie jeszcze burzliwiej i ciekawiej, niż rozpoczął.

Oto ofiarą padł... Ali.

Czy ofiarą, nie wiem. Może ja, może on... To jest pytanie. Tak jestem doprawdy na zimno wzburzona, jak te fale Atlantyku, rozbijające się na skałach Finistere. Zimna, jak lód, a wzburzona, jakby całe piekło w nich szalało. Tak jest dziś ze mną.

Ale jak było...

To główniejsze.

Otóż Ali, tuberozy i nowy sonet. Powiadam ci, czysta biel uczucia, jakby tam o jakie dwa albo trzy domy nie było domów i jakby ludzie mieli wszyscy śnieżne skrzydła, zamiast łopatek.

Tak – Ali.

Ja patrzę na niego, podziwiam jego pepitowy garnitur, pastelowy krawat i niewinny dołek w bródce, przynoszący legendę aniołka, który go tak napiętnował od urodzenia. Siedzę na moim ulubionym fotelu, wybitym Aubuszonem, otulona skrzydłami parawanów szklanych, i udaję rozmarzoną. A w gruncie rzeczy myślę że ta romantyczna lalka z Namiestnictwa, o starannie obutych nóżkach i pachnąca konwalją, jest jakąś anomalją w dzisiejszych czasach ze swą „duszą poetyczną”, miłością nadziemską i brakiem wszelakich zapędów w stronę realną tego, co w pierwszej przedmowie Beyle nazywa podobnem do „drogi mlecznej” na niebie, skupiskiem gwiazd mgławicowych i t. d. Patrzę na to młode Zakochanie i nie czuję tej melancholijnej satysfakcji w słuchaniu metafor, które doprawdy ze zdumiewającą swobodą sypią się ze świeżych ustek tego pół dziecka. Szkaradne podrażnienie nie opuszcza mnie. Przeciwnie, wzmacnia się. Zapalone lampy, przyćmione abażurami, nadają szablonowy, ale rozkoszny półton dokoła. Przez uchylone okno widać czernią niepewną miasta i słysząc jego konające odgłosy. Powoli wzrasta we mnie coś złego, budzi się jakiś demon. Chciałabym porwać to dziecko „z anielskim obliczem”, w ubraniu pepita i rozszarpać na sztuki, tak, jak różę, która mnie zaczyna nudzić swoim zapachem. Gryzę własne wargi do krwi i dziwne... Helu... dziwne... potworne... Oto tam z kąta, gdzie widać ledwo ostre linje palm, ku mnie pełza namiętna twarz i słyszę niski, przyciszony głos, szydzący z

subtelnych w tej chwili wywodów Alego – z powodu, iż rzuciłam mu na żer jego potrzebie metafor zdanie:

– Chcąc nacieszyć się swem sercem i kochać, trzeba być samotnym, lecz trzeba się rozpraszać, chcąc mieć powodzenie...

I głos ten i usta te, pełne, zmysłowe, barwy ciemnej wiśni, szepczą:

– Miłość?... cztery jej, pięć rodzaj! Szaleństwo! Jedna jest tylko pełna, doskonała, w której nie zabraknie ani jednego tonu...

I potem śmiech.

– Miłość Heloizy dla Abelarda.

I vice versa...

Świętej Klary dla Franciszka z Assyżu. Aniołowie klęczący i zapatrzeni w takich dwoje.

A nad nimi deszcz z gwiazd.

Więc czuję jakąś śmieszność, opętającą mnie, i wołam z głębi duszy:

– Małżeństwo... ślub...

A twarz namiętna stygnie, usta koloru wiśni wydymają się z niesmakiem.

– Nie, urok ginie.

– A tak?

Wyprostowuje się. Ściągam brwi. W gardle czuję dławienie. Duma mnie rozsadza.

Nie wiem, dlaczego powtarzam sobie:

– Bądź piękną, jeżeli możesz, mądrą, jeżeli zdołasz, poważną,

bo nią być musisz!... Taką tarczę ze słów Lisia Visconti czynię sobie i czuję, że twarz moja przybiera wyraz zimnej złości. Może być, iż teraz nie jestem piękną, ale mam wiele znaczenia. Czuję to w głowie Alego, bo zawiesił swą monotonną bajkę, w której ja jestem księżniczką, jadącą przez puszcze w karecie, ciągnionej przez srebrnych dwanaście orłów – i patrzy na mnie ze zdziwieniem. A mnie jakby coś zamierało w sercu, bo oto tam w oddali, w cieniu palm zaginęła twarz szydersko uśmiechnięta i rozplynęły się w niebycie usta namiętne, podobne do koloru wiśni. Wzrok mój pada na trubadura w pepitowym garniturze, – nie wiem – ale Helu, ja czuję w tej chwili brutalny żal, iż on nie ma w ręku gitary, ażebym...

Ażebym...

No – ażebym mogła porwać mu ją z ręki i uderzyć nią po wypomadowanej czaszce.

Nie mogę tego, bo niema gitary.

I że jestem kobietą doskonale wychowaną, a on jest dzieckiem arystokratycznego rodu i koncypientem, czy czemś tam, Namiestnictwa, i ma dwa lata praw i jest tak ślicznie, tak bosko ułożonym, młodym poetą.

Lecz natomiast demon potworny rozszalał się we mnie.

– Skuś go?... – szepce mi do ucha – narzuć się na niego całą forszą, a potem kopnij precz! Precz! Zobaczysz, co zrobi, jak się zachowa!...

I ledwo ten szept przebrzmiał, a już się porywam i wyciągam rękę.

– Och!... Gorąco!...

Szybko uciekam do swego pokoju. Tam, na gwoździu za szafą wisi *robe d'intérieur* – och!... którą mógł chyba d'Annunzio wymyśleć dla jakiej swojej donny z pałacu o smukłych kolumnach. Lecz wymyślił ją tylko jakiś *grand faiseur* paryski, bo wiesz, iż jestem za uboga, ażeby ubierać się w kraju i sprowadzam sobie „stroje” z Paryża. Więc *robe d'intérieur* ta – mgła jedwabnego muślinu o kolorze ciała zawstydzonej dziewczynki, o walansjenkach, tkanych czółkami przątek prymitywnych. Narzucam ją na siebie, obnażam ręce i myślę, że jest to odzież odpowiednia dla wzbudzenia uwielbienia w istocie, nie poddającej się z prostotą rzeczywistemu działaniu rzeczy.

A więc.

Na tych, którzy wnoszą w uwielbienie albo nadmiar, albo niedostatek wrażliwości.

Zakochane dusze, albo przepalone, „rozmiłowane na kredyt”...

A więc.

Kaswin albo Halski.

Tego drugiego niema.

Ali!

Wychodzę z pokoju do salonu.

Pozostawiam drzwi sypialni uchylone. Wychodząc, miałam jeszcze piekielną myśl zaświecić nocną różową lampkę i uchylić kołdrę – ot... na noc...

Na długą, rozkoszną noc, Helu!

(Ach, proszę... nie przerażaj się. Czy nie czynisz tego sama – prawda, pobłogosławiona w tym kierunku, ale czynisz!...)

Więc wszystko to dzieje się niby przez zapomnienie.

I nie patrząc na Alego, mówię:

– Ach!... Jak gorąco!...

I zbliżam się do fortepianu.

Czy wiesz? Z doświadczenia wiem, że nic tak zmysłowo do kobiety nie pociąga, jak muzyka. Jest w tem jakby pociągnięcie elektrycznej nici. Coś prosi, coś kusi, coś łka, coś obiecuje...

Tylko trzeba umiejętnie dobrać to, co się gra.

Według mnie, do tego celu nadaje się Szumann.

Tak...

Weź jego *Träumerei*, albo *Warum*.

He... he... żebyś nie wiem jaki marzący sentyment w to kładła, zawsze powróci struna zmysłowego czarar.

He... he...

Spróbuj – mnie w tę stronę skierował Halski. Kiedyś mówi:

– Proszę zagrać.

Czułam, że płonie jak kandelaber siedmioramienny. Ale chcę go spalić.

Więc zaczynam swawolną, szkaradną, bezecną śpiewkę – *Przewodniczkę*.

Ty jej, o święta! nie znasz.

Moja łódka

Jest czyściutka

i t. d.

A on kładzie mi ręce na moich rękach.

– Proszę mi zagrać coś bardziej zmysłowego.

Patrzę mu w oczy.

– Wszak to właśnie dla Pana.

– Myli się pani.

I z półki bierze mi Szumanna.

– To!

– *Träumerei!*

– ?...

– Właśnie.

A potem ironicznie się uśmiecha.

– Jak pani rzeczywiście mało zna to, co pani mieni ludzkim zwierzęciem.

– Szczycę się tem.

– Niema czem. Pruderja jest nudna i kalectwem dla osoby, pruderją dotkniętej.

Grałam *Träumerei*.

I wiesz, co?

Chcąc dowieść, że nie jestem „kaleką”, zaczęłam płonać **na zimno** w niemożliwy sposób. Chwilami ogarniał mnie wstyd, bo zdawało mi się, że to jakiś krzyk pożądania wyrywa mi się z piersi.

Gdy przestałam grać, Halski odezwał się z cienia:

– Jak na początek... nie źle.

Sądziłam, iż znajdę go nawpół szalonym; pohamowałam swój gniew i odezwałam się obojętnie:

– Gram to pierwszy raz...

– Nie wierzę! – odparł – lecz w to wierzę, że pani gra Szumana **tak** po raz pierwszy.

*

Więc, widzisz, gram znów Szumana.

I to dla Alego.

Ach! Nie aniołów to śpiew!

Drgała tam raczej brzęcząca moneta używania w miłości. Nie interes pieniężny, lecz raczej korzyść zmysłowa.

I tem była silniej podana, że na zimno.

Bo aktor ten wzruszy do łez, który sam nie płacze.

Pamiętaj o tem, Helu, bo i w małżeństwie ta wiadomostka przydać Ci się może.

Długą chwilę było cicho. Już lękałam się pomyłki. Czyżby nadwrażliwość dziecięca Alego zawiodła? Sforsowałam nutę. *Träumerei* zawyło, jak to „pienie się u piersi” Przybyszewskiego. I powoli, z kąta wypełzać zaczęła ku mnie przekształcająca romantyczność...

Posłyszałam krótki dech...

Pierwsze wrażenie?

Wstręt.

Przemogłam go. Grałam dalej. Przegięłam się rozkosznie. Z jednego ramienia strząsnęłam koronki. Odkryło się. Czułam, że ma cudowny ton kości słoniowej, zaróżowionej lekko cieniem abażuru. I wszystko zaczynało przybierać jakąś przesyconą różami barwę... Coś z lubieżności wyrafinowanej XVIII. wieku. Myśl wszakże o tem, że ten „kawaler”, pełzający ku mnie, ma na sobie garnitur pepita, psuła mi złudzenie. Wreszcie był przy mnie, na klęczkach, jak przystało.

Śliczne, małe rączki dziecka dotknęły się brzegu mej sukni.

Wstrzymałam dech, lecz grałam dalej.

Ali się pochylił.

I ucałował... kraj mej szaty.

Ale ja wiedziałam, że przyjdzie to inne i grałam jeszcze chwilę *morendo*, wreszcie Szuman ustąpił miejsca żywej melodji.

Melodji mego ciała!

Ach, Helu!... Czyż opisać ci mogę, jak wężowo wykręciłam się na taburecie, jak przegięłam się plecami na klawiaturę, jak ślicznie jakby portret Reynoldt'a rozkrzyżowałam ręce i podałam naprzód piersi.

Cieniuchna tkanina muślinu ledwo kryła me kształty; skrzyżowałam nogi i siedziałam tak, czując sama wielki czar mej piękności i kobiecego uroku. Twarz moja wszakże była ciągle zimna i tylko oczom starałam się nadać wyraz wyczekującej na kraju lasu sarny. Przysłoniłam je rzęsami i czekałam.

Niedługo.

Ali rozpoczął znów swoją monotonną litanię miłosną, ale

głos mu drżał i delikatna cera mieniła się przebiegającymi pod skórą płomieniami. Widziałam to wybornie z pod moich rzęs. Wreszcie umilkł. Przez długą chwilę pozwoliłam grać za mnie milczeniu. Gorący wicher owiewał nas oboje. Wreszcie czułam, iż coś powiedzieć muszę, bo wzrok Alego, utkwiony bałwochwalczo we mnie, przechodził... w zyz.

Więc nic nie znalazłam odpowiedniejszego, jak:

– Ach! Ali!...

I wyciągnęłam się bardzo grzesznym gestem haremowej odaliski. On zaczynał przypominać sobie, że ma dwadzieścia trzy lat i że miłość składa się jak róża z kilku listków. Bajka, którą mi w tej chwili śpiewał, czysta była krystalicznie i bosko, ale głos, ale ruch rąk, wciąż mających coś do czynienia z walansjenkami mej roby...

I powoli te ręce sentymentalnego pazia, te ręce, Helu, posunęły się od stóp moich do kolan, jakby kwiaty jakieś oplatały mnie słodko i nieśmiało. Zaczęłam wtedy tracić powoli maskę chłodu i w kąciki ust włożyłam troszeczkę uśmiechu, bardzo zachęcającego i wabiącego. Ale zarazem oczy utkwiałam w sufit. Niby w jakiś sen, w jakąś ekstazę, niby, że nie wiem, co się dookoła mnie dzieje.

Bajka o królownie i srebrnych orłach snuła się dalej, ale coraz bardziej cichym i drżącym głosem.

Wreszcie rączki Alego posunęły się ku górze. Objął mnie miłośnie i czułam, jak drży cały. Padł mi twarzą na kolana i poczułam gorąco jego ust, cisnących się do mnie. Nie było mi

to odrażające, ale było mi to obojętne. Błyskawicznie spuściłam oczy i objęłam sytuację.

Wydała mi się śmieszna.

Nic więcej, tylko śmieszna.

I porwał mnie gniew, złość na siebie i na to rozmazane dziecko, cisnące mi się do kolan.

Jednym gestem pchnęłam go od siebie.

– Co to? Co to? – krzyknęłam.

W tem pchnięciu, w tym krzyku była moja, wzbierająca się przez cały dzień, nienawiść i gniew.

– Jak pan śmie?... Jak pan śmie?

Podniósł ku mnie twarzyczkę.

Był szkaradny. Włosy opadły mu na czoło. Nos mu się zaczerwienił, oczy, te oczy truvera, opiewającego róże rozkwitłe na piersiach damy, zaszyły jakąś brzydką, białą mgłą...

I miałam do niego straszną urazę nie za to, że mnie pożądał...

Ale za to, że nie umiał być wtedy **pięknym**.

Och! Gdyby pod ręką... gitara...

Więc tylko wołałam zaciekle i jakimś ochryłym głosem:

– Precz! Precz!...

Podniósł się z klęczek jak pijany.

W tej chwili oprzytomniałam. Pomyślałam, że ta wściekłość jest po prostu **nie moja**.

Że ona jest prawdziwa, nie udana.

Że ja naprawdę nienawidzę w tej chwili objawienia się przedemną tej strony miłości.

I zlekłam się.

Czuję, że tracę wyższość.

Więc schroniłam się ku drzwiom sypialni i stamtąd, upozowawszy się dobrze na tle różowego oświetlenia, rzuciłam już rozwleczonymi miłym głosem:

– Do jutra!...

Ali stał obaławaniały na środku i tępo patrzył na mnie. Zauważyłam, że mu z kącika ust błyszczała ślina.

To dopełniło miary.

Jeszcze słodziej powtórzyłam:

– Do jutra!...

I znikłam, zamykając drzwi od sypialni.

Wszakże – nie na klucz.

Z kim innym zrobiłabym to *coup de maître* – to zgrzytnięcie klucza, tę niby trwogę przed nim, przed sobą.

Ale przed tem obaławamuconem tak prędko dzieckiem nie warto!

W kilka minut posłyszałam, jak Ali wychodził. Ja tymczasem badałam **siebie** przed lustrem.

Byłam bardzo *en forme*. Oczy me ślicznie błyszczały, tak, jakby Ali nie odszedł z kwitkiem. To jest, przypuszczam, żeby tak błyszczały... bo właściwie nie wiem, czy... Słowem, byłam zachwycającą.

I czując to, czy zapragnęłam, aby mnie ktoś całował, czy chciałam kogoś całować?...

Nie wiem!...

Nie wiem!...

Podniosłam moje obnażone ramię, z którego spływały fale muślinu i koronek.

I ucałowałam je.

Ja!

Tak.

Ale jak!... Wpiłam swe usta w pachnące ciało. Wgryzłam się w nie do nieprzytomności.

Stuk bramy na dole obudził mnie.

To Ali wychodził.

Czy wiesz, ten hałas przywiódł mnie do równowagi. Jednym susem byłam w salonie u otwartego okna. Wezbrała we mnie wesołość złego stworzenia, które się napiło młodej krwi.

Chciałam jeszcze zobaczyć Alego, jak będzie ogłupiały włókł się pod murami domów.

A może zacznie chodzić pod oknami i smętnie znów spojierać.

Och, gitara!...

Przeięłam się wpool, półnaga i mimowoli zgorączkowana. Ali stał na trotuarze, jakby się wahał, co począć.

Rozkoszne zadowolenie triumfującej kobiecości przenikało mnie całą.

– Co robi? Co robi?... Już go ogarnia fala ideałów... Och! Święta Klara, święty Franciszek – aniołowie – cała katarynka...

Czułam moje zęby, białe, błyskające w przestrzeń, ciało przegięte jak pantery, opatrującej ofiarę...

Dobrze mi było.

Nagle Ali odwrócił się i zaczął szybko iść w stronę przeciwną, jak ta, w której mieszkał. Byliśmy bowiem prawie sąsiadami. Niedaleko na rogu ulicy była stacja dorożek i ta stanowiła rozpacz mojego życia. Ku niej to pędzi, jakby gnany Ali. Widzę go w tej zgniłej studni ulicznej, bijącej ku mnie zatrutymi letniami wyziewami. I w migocie latarni zdaje mi się, że na plecy, na ramiona chłopca, wskoczyła jakaś zjawa, chuda, straszna, którą widzę jedynie z tyłu. Coś z tych *Mors* Ropsa, czarne pończochy, spadająca bielizna z wychudłych ramion.

Popędza go, bije piętami, odzianymi w wykrzywione lakierki, w jego piersi.

A on się spieszy... spieszy...

Dopadł do dorożek.

Wskoczył w jedną.

Mignęła mi para siwych koni w ciemności. Ali, stojąc już w dorożce, coś mówił do fiakra, poczem padł na poduszki, woźnica zaciął konie i szalonym pędem ruszył w ciemność...

W ciemność, w zaduch, w piekło rozwartej szeroko paszczy miasta.

Ze stopni dorożki zeskoczyło widmo Ropsa i zwróciło ku mnie swą twarz trupią o wyszczerzonych zębach.

I wybuchnął śmiech...

Ja nie wiem, kto się śmiał, Helu, ja nie wiem, kto...

Ja? Czy ta na dole...

Czy może my obie?

Twoja

Rena

List trzynasty

Robisz mi wymówki, Helu, że milczę... Tak. Milczę, ale przysięgam ci, to nie moja wina. Ostatni twój list był mi ciężkim zarzutem. Piszesz, iż nie powinnam tak postępować względem Kaswina i t. d. Ach, moja droga. Zawsze złudzenia! Mnie winisz, jakobym kokieterją moją... – *Pardon*. Skoro się dowiesz całej reszty, może się uspokoisz nad losem truvera. Otóż ten pan prosto odemnie popędził – zgadnij, gdzie? – Do wesołych cór Koryntu w Casino de Paris, z którymi bawił się aż do rana. – Skąd wiem? – Ach Boże! – Trochę sprytu... Dorożkarz o parze siwych koni. Odnalazłam go.

Mówię:

– Przyjacielu... mój brat (!) wczoraj jeździł twoją dorożką wieczorem. Zostawił gdzieś laskę. Jest to laska wzięta przez pomyłkę. Przywieźcie mi ją z powrotem. Dostaniecie suty na piwek. A paniczowi nic nie mówcie!...

Banknot dziesięciokoronowy migoce mi w rękach.

Dorożkarz, pijacka wyga, imitacja i karykatura *a weaner-fiaker*, uśmiecha się obleśnie.

– Kiedy bo...

– Ale oddadzą, oddadzą...

– Że tam trudno...

– Jedźcie tylko.

Czy udał, czy się złapał. Dość, że pojechał.

A za nim w ślad, w ślad...

Kto?

Ja!

– Ach! Co znowu.

Moja Hania, druga wyga, tylko nie zapijaczona – drugą dorożką, w której już na ten cel tkwiła od pół godziny.

Wprawdzie automedon Alego laski nie przywiózł, ale za to Hania wyrecytowała ulicę, dom, numer – wszystko najlepszej sorty i najbezpieczniejszego przeznaczenia.

I co ty na to?

I wiesz, jeśli mam być szczerą, to było mi tak, jakby mnie kto nagle zabłoconą ręką w twarz wyciął.

Takie uczucie.

I ciągle je czuję, ciągle.

A teraz twój list na dodatek. Czego chcesz właściwie? Sam Ali mi nic zarzucić nie może, bo przecież byłam najwyraźniej pogrążona w półśnie...

A gdy się zbudziłam, odepchnęłam go przecież od siebie.

Nie lękaj się. Ja to robię doskonale, *arte*. Gdybym nie umiała, nie puszczałabym się na ślizkie i niepewne rzeczy. Nie potrzebujesz mi przypominać, co jestem winna sobie i swojej godności. Ręczę ci, że gdybyś się ich spytała, każdy ci powie, że jestem kobietą bez skazy. Tylko na Boga! Czyż my, kobiety uczciwe, mamy być pozbawione już wszelkich przyjemności?

Nawet tych – przedwstępnych?

Twoja

Rena.

List czternasty

Dopisuję dziś jeszcze te kilka słów, bo przyznam ci się, iż rano byłam tak oburzona na Alego, na ciebie wreszcie, że nie poznawałam sama siebie. Całe popołudnie przepędziłam w łóżku. Tak! Rozebrałam się i położyłam. Niby chora! Ślicznie wyglądałam cała w koronkach i okryta cieniuchnym, jedwabnym weneckim kocykiem, koloru *fraise*, pod którym zaznaczałam się jak posąg koralowy.

Przemknęła mi po głowie myśl:

– Czy **tak** wygląda metresa Halskiego?

I wiesz?

Postanowiłam, że coś przecież zdołam wymyślić, aby mnie tak zobaczył. Nie boję się porównania, bo jeżeli się dobrze oświecę, a włosy zafryzuję, to czysty ze mnie *Rêve* Chaplin'a. Wiesz, ta Suzanne Derval, cała różowa i spłoniona. Tę karnację można osiągnąć za pomocą lampki nocnej, różowej, tylko należy dać jej podkład żółty.

Wypróbowane.

A teraz, co dalej? Postanowiłam, leżąc tak w ciszy skandalicznej, że...

Przedewszystkiem:

Alemu nie dam poznać nic, że wiem o smutnym rezultacie, do jakiego doszedł ze swoją krystalizacją idealistyczną miłosnych uczuć dla mnie.

Jednakże.

Będę go cudownie dręczyć, zachwycając się jego czystością dziecięcą, czarem kwiatu, który rośnie, rozwija się i pięknieje w oddali od trujących bagien życiowych. I będę mu mówić:

– To mnie ku tobie ciągnie, to właśnie, to jedno. Bo gdybyś był takim, jak inni, skalanym i znajdującym upodobanie w niskich rozkoszach życiowych (zauważ i podziwiał styl!) – nie mógłbyś istnieć dla mnie. Jesteś mi czarującym źródłem, otoczonym wieńcem narcyzów. Pochylam się nad niem, piję zeń czystą, doskonałą wodę i oddycham twą anielską, przejasną duszą!... O! Ali!...

A on, który się tak dobrze „zapomniał” – w gościnnych apartamentach firmy Malci Stockfisz, kręci się niespokojnie – i stara się uśmiechać anielsko. – I myśli:

– O Boże! Żeby się to tylko nie wydało!... Przepadnie cała moja nadzieja.

Ja mu patrzę w oczy, niby jako aniołowi i kończę mą tyradę uśmiechem królowej z bajki.

Powiadam ci, mieć będę cudowną i niewyczerpaną zabawę!!!

Tak, Helu, zabawę! Cóż? I to ci się nie podoba? Cóż to jest to moje igranie kota z myszą w porównaniu z tem, co tam w Warszawie wyprawia pan Halski ze swoją metresą! Pomyśl tylko! Pomyśl! Wiesz teraz dużo szczegółów. Gdy mi przyszła myśl o Halskim do głowy, nie mogłam dłużej uleżeć. Po prostu, podniosło mnie! Ubrałam się i przeleciawszy jak wicher przed oczyma Hanki, która zaczyna dziwnie na mnie patrzeć,

poleciałam do Maryli.

Zdziwiłam się mocno. Siedziała właśnie w jadalni. Piła kawę z obrzydliwego, zielonego ze złotem, garnuszka. Wykwint marzeń kucharki. I wyobraź sobie tę siestę donny, w rzeczywistości ślicznej jadalni, kosztownej i w nadzwyczaj dobrym smaku. Nawet są witraże w guście Mehoffera, więc barwne średniowiecza, o prymitywnym wdzięku.

Ale słodka nasza Maryla ma na sobie matinkę z pięciu perskich chustek, które tworzą jej śmieszny garb na wypukłych plecach. Bez gorsetu przedstawiała amalgamat większych lub mniejszych kul, połączonych ze sobą niewidzialnymi węzłami. Jest po prostu odrażająca. Ma niewiele włosów, świecący nos i zapuchłe oczy. Patrząc na nią zdumiona. Widziałam ją zawsze „pod bronią”. Wiesz, że uchodzi za powabną kobietkę. Sądziłam ją przedewszystkiem z materiału, jakżeby ci to powiedzieć – bardziej... solidnego. To zaś, co mi się przedstawia pod deseniem perskich palm, robi wrażenie czegoś beznadziejnie *croulant* (Francuzi mają doskonałe i soczyste w tych razach wyrażenia). Dziękuję Bogu, że mnie stworzył bardziej odporną i z jakiejś doskonalszej gliny – wyprostowuję się, dumna, że mogę chodzić między ludźmi bez gorsetu i wywołania równocześnie skandalu, i klękam na krzesła, a pokładam się całym torsem na stole. Jest to moja ulubiona pozycja, gdy mnie nikt nie widzi. Zrozum – Maryla nie liczy się za kogoś. Wprawdzie później dostrzegam, iż w gabinecie robi porządki lokaj i w lustrze konstatuję, że jest przystojny wyjątkowo i kształtny chłopak –

ale nie zmieniam pozycji. Dla dwóch przyczyn.

Pierwsza:

Że taki mud' może się nie poznać.

Albo:

Że się może poznać, więc...

Tem lepiej.

Zawsze – niech ani jedna linja nie zostanie stracona. I milej być głąskaną wzrokiem choćby osobnika, zajętego oczyszczaniem otomany z problematycznych moli, jak nie być głąskaną wzrokiem niczym.

Bo w takim razie pozostaje nam tylko gorzki żal nad słonym, a niezapłaconym rachunkiem szwaczki, która nam taki piękny i cudnie opięty kostjum stworzyła...

Więc już lepiej – niech choćby lokaj...

Czuję magnetycznie, że jestem podziwianą od strony odwrotnej, a tymczasem ja znów podziwiam łysinki na czaszce Maryli. I myślę, że jej mąż, który jest człowiekiem bardzo wykwinnym, ma mnóstwo smaku i gustu, ma dużo do czynienia w tym domu.

Gdyż dziełem jego jest nietylko ta jadalnia, ten salon Louis XV, ten gabinet oryentalny, ten buduarek bardzo czysty empire, ale i ta Maryla, „powabna kobietka”, którą lubimy i którą mężczyźni bardzo pożądlwym wzrokiem ścigają na balach.

Wiem, że Jasiński jest człowiekiem dumnym i że drażniłoby ambicję jego i miłość własną, gdyby jego żona ukazywała się w swej naturalnej postaci, prosto, skromnie – jak Pan Bóg stworzył

i żyć jej przykazał.

Przetwarza ją. Tak, jak przetworzył niesmaczną kamienicę „jej ojców”, wziętą w posagu.

I ta zręczna, dobrze ubrana, solidnie opancerzona kobietka, z gorsem unieruchomionym, z rękami pokrytymi gazą falban, z gąszczem ślicznie ondulowanej fryzury, prezentuje się doskonale, w niczem niepodobna do tego czegoś, co w tej chwili wsadziła nos do garnuszka z kawą, który sobie sama przyniosła, drepcąc z kuchni „z podwieczorkiem”.

Patrzę więc z uwielbieniem na tę kobietkę, zdolną do takich metamorfoz i w obecnej chwili złożoną z całej masy pięter cielska, jakby jakiś drapacz chmur z żelaza.

– Marylu! – mówię do niej – co ty czytasz?

Obłożyła się bowiem stosem gazet. I to, wiesz, Helu, solidnych gazet, tych, które trzęsą krajem, trzymają rękę na jego pulsie, są u steru – słowem koguty Rostandowskie, sądzące, że bez nich słońce nie wejdzie.

I przedstaw sobie.

Wszystkie te dzienniki są poskładane na wierzch politycznymi artykułami (!) Helu. Wstępne, a potem dojadania jeszcze w środku numeru – i potem z prasy obcej – i potem korespondencje – i potem cała lira...

Pytam więc:

– Marylu! Co ty czytasz?

Z nad garnuszka kawy podnosi się głos:

– Widzisz przecie.

– Widzę! Polityka?

– !

– Po co ci to?

Milczenie.

Wtedy przypominam sobie, że Maryla jest nad przepaścią. A na jej dnie jest mąż polityczny, ogromnie wysoki i ogromnie milczący. Do tej pory brał udział tylko „w komisjach”, jeszcze się nie odezwał ani razu, ale nie trzeba tracić nadziei. Ma doskonały gust, pyszną sylwetkę i łatwość zmiany przekonań zdumiewającą. Z tem wszystkim trzeba by naprawdę pecha, ażeby nie zaszedł bardzo wysoko...

Na to liczą wyborcy, na to liczy i Maryla. Polityczny bowiem mąż za czasów jeszcze swej adwokatury stołecznej wyróżniał wcale wybitnie Jasińską. Ona zaś nie chciała pozostać pomiędzy nami bez wielbiciela. Widziałam, iż go ośmielała. Niezgrabnie, jakby niedźwiedź tańczył, ale ośmielała.

(Nie chcę jej zasmucać odkryciem, iż polityczny mąż na ostatnim pikniku, w sposób wcale nie dwuznaczny zniszczył mi zupełnie śliczny pantofelek z *vert nil* atłasu i takąż pończoszkę. Byliśmy przy kolacji sąsiadami).

Widzę więc obecnie, że Maryla nie na żarty jest na złej drodze.

Przechodzi bowiem trening polityczny, bo zamierza, jak ongi pani de Staël i inne, otworzyć salon polityczny, celem jeszcze solidniejszego zawiązania węzła pomiędzy sobą i mężem stanu.

Hm! Może i ma rację. Zastanowiwszy się nad tem, że *au*

déballage wdzięki jej stracą fatalnie. A mąż stanu, zepsuty marmurami kasjerek wiedeńskich, może się zrazić.

Należy więc czemś podeprzeć mogącą zawalić się świątynię miłości.

Tą podporą będzie...

Możność rozmawiania.

Tak.

Maryla chce być kobietą, z którą można i jest o czym pomówić.

Biedna Maryla!

Nie chcę nalegać. Nie chcę wprowadzać ją w kłopot. Pytam więc *à brûle pourpoint*.

– Nie wiesz, co się dzieje z Halskim? – Mam u niego dwie książki, nie moje. Chciałabym je odebrać... Czy wrócił?

– Nie.

– Jeszcze w Warszawie? Czy ma drugi odczyt?

– Nie!

– Więc czego tam siedzi?

Czuję, że to, co mówię, jest głupie, a przecież mówię, bo inaczej nie mogę.

Maryla odpowiada filozoficznie:

– Mówiłam ci, że ma tam metrese?

Mimo woli oglądam się na drzwi do gabinetu. Ładny lokajczyk zapatrzony jest we mnie. Zwracam uwagę Maryli, aby obniżyła ton mowy. Można bowiem dać się podziwiać takim indywiduom, ale nie należy, ażeby te indywidua wtajemniczały

się w obniżony choćby słowami, choćby chwilowo ton naszego życia. Należy być podziwianą, ale ani wyśmiewaną, ani pogardzaną. Maryla wzrusza na to ramionami i urywa rozmowę. Widzę, że zezuje w stronę swojej polityki... Radaby pogрузić się w jej przepastnych otchłaniach, aby wydobyć ze siebie **kobietę wyższą**. Lecz **moja kobieta niższa** coś rozegrała się na dobre i aż tętni we mnie. Chcę, pragnę i muszę wiedzieć coś więcej o Halskim. Wszak nie przyszłam tu po to, aby podziwiać Marylę w jej nieśmiertelnym negliżu, kasetony jej sali jadalnej i jej garnuszek z kawą. Wyciągam więc rękę w stronę zadrukowanych płacht, ściągam je niewinnie i czynię sobie z nich podściółkę, na której kładę się z miną nowonarodzonego dziecka. Sądzę bowiem, że w ten sposób wszystkie parlamenty, komisje, koła, interpelacje, obstrukcje i inne cuda i grzechotki cacane mężczyzn znikną na chwilę z pamięci Maryli i pozwolą jej indyczemu mózgowi zająć się kwestją pasji temperamentów i namiętności z możliwą uwagą.

Z chytrością Indjanina znów dążę ku swojemu celowi.

– Gdybym chociaż miała pewność, kiedy Halski wróci... – zaczynam.

Maryla jednak czegoś się dąsa.

– Wróci, jak będzie miał dosyć.

– Czego?

– Tej swojej.

Widzę, że jest zirytowana, iż zwróciłam jej uwagę poprzednio. Postanawiam więc już brnąć dalej, nie zważając na

obecność służącego.

– Dlaczego mówisz **swojej**. Taka kobieta przecież się nie liczy.

– Liczy.

– Mężczyzna nie szanuje takiej istoty, więc nie uważa jej za swoją.

– Uważa.

– Skąd-że wiesz o tem?

– Wiem.

Zaczynam się śmiać, ale daję ci słowo, że we mnie coś aż drży ze złości.

– Sądzićby można...

– Że co?

Patrzy na mnie nawet agresywnie swemi rybiemi oczyma.

– Że ich bronisz.

Wzrusza ramionami.

– Nic mnie nie obchodzą. Tylko lubię mówić prawdę.

– Wygląda tak, jakbyś chwaliła takie ustępstwa.

Milczenie.

– Co?... – nacieram.

– Nie chwale, ale...

– I nie potępiasz.

Wybuch nagle, aż nosek się jej czerwieni.

– Dlaczego się nie mają kochać?

– Bo ona nie jest wolna, bo jest uczciwa, a przynajmniej za taką uchodzi, bo taki Halski, deprawujący kobiety z towarzystwa,

zasługuje na to, aby go usunięto precz poza społeczeństwo, bo są to oboje wyrzutki tego społeczeństwa... a ona gorsza i bardziej pogardy godna od każdej, każdej...

Brakuje mi tchu, brakuje mi słów.

Czuję się bardzo wzburzona, szczęka dolna lata mi jak na sprężynie. Mimo to podziwiam się w lustrze, tak ta pasja dodaje mi blasku i uroku.

Maryla patrzy na mnie tępo.

Wreszcie odpowiada:

– Kapelusz ci się skręcił na bakier.

Mimowoli zeskakuję ze stołu, z gazet – pędzę do lustra.

– Naprawdę?

Poprawiam szutro estetyczne, ciężące mi na głowie. Tymczasem Maryla chwytą dzienniki i zaczyna na dowód swego złego wychowania czytać je z zapamiętałością, pragnącą wynagrodzić sobie czas stracony.

Jestem zła, podrażniona – czuję, że chętnie wpakowałabym jej szpilkę od kapelusza pomiędzy łopatki.

To przyniosłoby mi bezwątpienia ulgę. Dla niej wszakże byłby to czyn – według Nietzchego – „nieprzyjemny”.

Pakuje tedy szpilkę w stos tafty, włosienia, gazy, piór i klamer – i rzucam jej z mściwością:

– Cóż to? Czy masz zamiar stać się sufrażystką?

– ?...

– Studjujesz politykę. Czy będziesz kandydować, rewindykując w ten sposób prawa kobiecie jako człowieka?

Odpiera z godnością:

– Rola kobiety jest inna, piękniejsza.

– Spodziewam się. Nie ma co robić w tem bagnisku intryg, kłótni, próżności, sprzedajności, obłudy...

– Przepraszam. Właśnie Ona powinna znajdować się w tym świecie, tylko...

Nie umie się wyjęzyczyć. Dopomagam jej:

– Niewidzialnie... jako ta, która rozdziela dobre natchnienia, zagrzewa do walki, niby te gołe boginie z czasów greckich, tańczące na chmurach w czasie bitwy.

– Drwisz ze wszystkiego. A przecież właśnie kobieta może nadać ton sprawom najniższej wagi.

– Właśnie. Eugenia Montijo zgubiła Francję tem, że nie chciała poprzestać na sławie wynalezienia krynoliny, ale miała ambicję nadawania tonu polityce Europy.

– Eugenia była głupia.

– Nie. Eugenia była kobietą, to znaczy, że nie miała tchu do **szero**kich szkaradztw i intryg. Naszą specjalnością są drobiazgowy świniestewka. W nich celujemy. Skoro jednak arena się rozszerza, tracimy dech i pojęcia nasze się mącą. Tymczasem mężczyźni gubią się w intrygach pałacowych, a są w swoim żywiole, gdy mają gubić narody i państwa. Dlatego, moja piękna, najlepiej nie mieszać się do tego, w czym odniesiemy porażkę... albo będziemy śmieszne.

– Nieprawda. A potem trudno zawsze tylko rozmawiać z mężczyznami o gałgankach i rzeczach płytkich. Są przecież

kwestje społeczne...

Urywa, bo czuje, że jest komiczną. Ma jeszcze to poczucie i powinna by mnie rozbroić tym odcieniem subtelności swych uczuć.

Ale ja jestem tak rozpasaną w mej złości, że nie mam dla niej współczucia.

– Naturalnie! – odpowiadam – pasja, aby gdakać wspólnie na jeden ton. Sądysz, że tem się mężczyzna przywiąże? Złudzenie! Nigdy w **wyższej** rozmowie nie osiągniesz wymiarów jego przeciętnego politycznego n. p. kolegi, będziesz zawsze dla niego uczniem i właśnie odślonisz przed nim tajnie swej nicości. A stracisz cały wdzięk jako kobieta...

– Zyskam jako przyjaciółka.

– Ech! Moja droga!

Ten wyraz wydaje mi się w tej chwili chorobliwie anemiczny i niewystarczający.

– Niczem nie będziesz, niczem...

Jest zupełnie zderutowana, oczka jej latają ze smutkiem od stosu gazet do mnie. Jest naprawdę szczerze zmartwiona. Widzi już, jak jej mąż stanu gardzi nią w duszy i idzie do „mężczyzny”, aby z nim gdakać na jedną nutę.

– Więc co robić?

Zaczynam się śmiać piekielnie.

– To, co ta... Halskiego w Warszawie. To, moja droga!...

Płomienie przebiegają pod skórą Marylki.

– Och?...

– Tak! Tak! Tylko wtedy możemy marzyć o jakimś uczuciu i przywiązaniu i szczęściu i innych akcesoriach życiowych! Tylko **wtedy**... Inaczej dla nas nic! nic!... Rozumiesz mnie, **nic**.

Porywam ją za rękę, wstrząsam nią. Cała gorycz dni ubiegłych wyływa mi do serca, na usta.

– Mamy **szacunek** tych panów, rozumiesz, **szacunek!** One wszystko!...

Lecz już to słowo „szacunek” wystarczy, aby mnie uspokoić. Jestem jak koń cyrkowy, który posłyszał znaną mu melodię polki. Znarowił się na chwilę. Lecz oto – polka. Wraca do ronda i zaczyna dreptać, tańczyć, przebierać nóżkami.

– I trzeba się tem zadowolnić!... – kończę z szerokim, szlachetnym gestem córy monarszej, którą wydają za męża za drobne, nic nie znaczące ksiąźątko z krwi królewskiej.

Maryla oberwała ze zmartwienia koronkę u matinki.

– Idziesz już?

– Idę.

– Co będziesz robić? – pyta, ot, aby coś powiedzieć.

– Idę kazać się... szanować! – kończę, wychodząc – i mam bardzo ładne i efektowne „wyjście”. Żałuję, że nie mam widzów, bo i lokaik zniknął dyskretnie, sądząc z podniesionych głosów, mojego i Maryli, że „wielmożne panie się kłóćą”.

I poszłam – do siebie.

Ach! Helu, na progu zastałam pokorny, obrzydliwy bilet wizytowy Kaswina. Zasunięty był w szparę drzwi. Było w tem coś niskiego, jakiś lęk, skradanie się psa, który wpadł do

blota i czuje na sobie brud cuchnącej kałuży. Porwałam ten bilet w strzępy. Wpadłam do mieszkania, w którym aż zawyło czegoś pustką opuszczonych domostw. W pudełku, krytem przezemnie samą kretonem w kwiaty i wiązany wstążką *chinée* o pastelowych barwach, mam cały stos fotografii. Jak hjena rzuciłam się na nie. Porwałam fotografie Kaswina i Halskiego i poszarpałam w kawałki. Gdybym się nie wstydziała, że dziecinnieję, byłabym przedtem przekłuła tym dwom podłym twarzom oczy szpilką od kapelusza. Ale i ten akt podarcia ich fotografii nie uspokoił mnie. Rozpętał raczej we mnie jakąś żałość, jakąś rozpacz...

W kapeluszu – jak byłam – rzuciłam się na fotel i zaczęłam płakać.

Ale nie płakać, Helu, tylko **wyć**.

Tak jest.

W tym półmierzchu letnim, ja, śliczna jak lalka, ubrana jak cacko, subtelna, wykwintna, z inteligencją i kulturą prima sorty – **wylałam**.

Bez łez – tylko tak – w pustkę, w przestrzeń tam, gdzie niema nic, nic, nic...

Co się ze mną dzieje? Czy i ja zaczynam wiedzieć o tem, że mam tak zwane nerwy?

To byłoby fatalne. Kobieta nerwowa o tyle jest interesującą, o ile tę nerwowość udaje. Skoro naprawdę nerwy się w niej rozpętają, staje się tem, co ludzie tak wykwintnie nazywają – **piłą**.

I zanudza...

Całuję cię bardzo serdecznie po szablonowemu,

Twoja

Rena.

List piętnasty

Droga ty moja! Jedyna na świecie, bo przecież zrozum, że do nikogo się nie mam przytulić, tylko do ciebie, kochanie!

Piszę do ciebie znów dzisiaj, bo tak mi dziwnie jakoś, że mało się nie uduszę własnymi myślami. Są one brzydkie i zmijowate. Czy wiesz? Myślałam całą noc nad tem, że w średnich wiekach bardzo silnie była rozwinięta praktyka owego *envouement*, to jest lepiono figurki swego wroga, lepiono je z wosku i kłuto zatrutemi szpilkami koncentrując w sobie całą siłę nienawiści duchowej, na jaką stać było. Podobno ów pierwowzór figurki miał cierpieć tortury, chorować, ginąć, przepadać, a czasem nawet umierać. Muszę wziąć trochę wosku od froterowania podłóg i ulepić takie dwie poczwary na wzór Kaswina i Halskiego. Zmaczam szpilkę, dajmy na to, w karbolu (który mam od bolu zęba) – i będę kłuła te lalki, kłuła z całą pasją...

Tobie się przyznam. – Właściwie kłułabym nie figurki, wyobrażające małego i Halskiego, ale z większą ulgą te dwie ich... partnerki, w których objęciach zapominają o mnie.

A może nie zapominają.

Może – właśnie – wtedy...

No, ale w każdym razie rola to chyba nie bardzo zaszczytna, choć poetyczna.

Być tym... Nieosiągniętym celem.

Enfin – inaczej być nie może.

Ale mi dziś od rana, jak kobiecie, której już od dawna, od lat całych nikt **kwiatów nie przyniósł**.

Może i ty czujesz to czasem w twej bezmiernej obowiązkowości? Nagle ujrzałaś, że przez ulicę niosą cudny kosz kwiecia. Takie to zalotne, różowe, liljowe, jakieś kwiaty rozwiane, jak sukienki greckich tancerek. Wiatr igra z wstążkami kokard i delikatną koronką paproci. Czuć w tym koszu kwiatowym miłosny pęd ku pięknej jakiejś, leżącej wśród koronek kobiecie. Ten kosz stanie w półcieniu sypialni, w której pachnie heliotropem, konwalją, pudrem marechal.

Różowo tam i złoto od włosów kobiety.

Na dywanie zapomniano pantofelek, haftowany złotem, i słońce południowe przez muśliny firanek igra z blaskami w gwiazdeczkach haftu... Na szeszłagu delikatnie warczy cudowny King Charles, o olbrzymich czarnych oczach i potwornej mordzie chińskiej pokraki.

Ach! A propos – kupię sobie takiego King Charles'a. To właśnie będzie sto razy więcej warte, niż ci wszyscy „uwielbiacze” i „przyjaciele” dla których właściwie jestem niczem. Nazwę go „*amour*” – miłością – i będę miała dziką satysfakcję tresować tę miłość i wlec ją za sobą na sznurku. – Raczej – właściwie nie powinnam nazywać King Charles'a **Miłością**, bo to przecież profanacja, ale raczej **Żądzą, Pasją, Namiętnością**.

Bo tem wszystkim, niczem innem są pobudki, jakie kierują

tymi panami w postępowaniu z ich kochankami.

Miłość – to może nawet to, co czują dla ciebie, dla mnie... Bo oni nie są zdolni odczuwać tej delikatnej tkanki miłosnej, nie składającej się przecież z grubo ciosanych belek zmysłowych. Nazywają to romantycznością. Mylą się najzupełniej. Romantyzm jest tylko pozą i gestem. W gruncie rzeczy kończy się zawsze upadkiem w błoto (jak to uczynił Ali), albo czymś niby wyższym, a co jest tylko groblą na błocie (jak to uczynił Halski). A że romantyczność jest nieszczerą i tylko tkwi w powierzchownej warstwie miłosnych uzdolnień ludzkich, więc raczej ja jestem **romansowa**. Tak jest – romansowa. Lecz w szlachetnym tego słowa znaczeniu. To, czego się dopuszczam poza tem, to jest drobne koncesje, czynię to raczej nie dla własnej satysfakcji, (bo tej nie cenię), ale dlatego, iż z żalem widzę, że miłość ich (czy co tam dla mnie czują), potęguje się tem właśnie postępowaniem.

Ach, Helu! Helu! Bystra jestem bardzo i to mnie gubi. Beyle mówi, że **Władza skromności jest tak wielka, że kobieta wrażliwa dochodzi do tego, że się zdradza względem kochanka więcej czynem, niż słowem.** – Powiedział mi to raz Halski podczas naszych podjazdowych walk o istotę skromności. Czasem więc dlatego następują małe, niby bezwiedne, niby pomimo mej woli koncesje.

I doprowadzają...

Ach Helu! Helu!...

Wolę zakończyć ten list. Jestem bowiem w okresie mej

katylinarnej egzystencji. To wczorajsze wycie moje samotne na fotelu przedłuża się w głębi mnie i przechodzi w gniew, prawie upadający. Czuję się marną i żadną, czuję się strojną i nędzną moralnie. A wiesz, dlaczego? Bo **duma** moja nie wykwita ze mnie samej, ale jest raczej wynikiem potrzeb mej egzystencji. Tak mi się dzisiaj przedstawia. I nie wiem sama, czy gdybym była jeszcze w domu męża, mająca ów „parawan”, kto wie, czy w tem usposobieniu, co dzisiejsze, nie dopuściłabym się tego, co tamta z Warszawy dopuszcza się z Halskim!

Ach! nie, nie! – podrzyj ten list, spal go! Wyrzuć!... To mnie niegodne.

Jestem zawsze gronostajem, przewijającym się po śniegu. Biejsza, niż łabędź... Piszę w stylu rozpasanej literatury.

Nie poznaję siebie. To wina mej samotności.

A przecież nie chcę widzieć Alego. To wstrętne. Fizyczny wstręt mnie ogarnia. To silniejsze nademnie. Nie wiem, czy i do Halskiego odczuję taki sam wstręt. Zdaje mi się jednak, że tu będzie pewna różnica. Sprzedajność w sprawach miłosnych wywołuje u nas, kobiet uczciwych, tę odrazę fizyczną do istot, sport ten uprawiających.

Prawda?

Zresztą – dość o tem.

Krzyż.

Zajmijmy się czem innym.

Oto – Janka – wiesz, Janka Murawska, ta, zaręczona z Ottowiczem, dostała od swego „narzeczonego” cudowny płaszcz,

zahaftowany bajecznie w jakieś mistyczne desenie. Powiadam ci – marzenie. Sprowadził go od Doucet'a z Paryża. Tło – jedwab koloru morza. Gdzie właściwie się w niego ubierze? Nie wiem. Bo niby czy widzisz **taki** płaszcz w naszej obszarpanej dorożce? A Janka jeszcze długo będzie jeździć tak dorożkami, bo ten rozwód Ottowicza bardzo niepewny. Podobno jego żona strasznie się zacięła i żąda bająńskich sum za odstąpienie swych praw małżeńskich. Ja przypuszczam, że to jest żądanie słuszne zupełnie, i gdyby pan Bohusz miał pieniądze, i ja żądałabym porządných sum jako odszkodowania. To słusznie się żonie od męża należy i tak to jest mądrze postanowione w społeczeństwie. Ostatecznie – oddajemy im naszą młodość, piękność i cnotę. Słusznie więc, ażebyśmy za te ofiary byli **zabezpieczeni**. Dlatego żona Ottowicza jest mądra bardzo i powinna się trzymać w cenie.

Ja głupia jestem, że przystałam tak na rozwód bez dowiedzenia się, czy rzeczywiście mój mąż nie może mi zapłacić pewnej sumy za to przystanie. Ale podejrzewam, że pan Bohusz jest trochę szczwany i ma tam gdzieś pieniądze ukryte. Może jako możnaby dowiedzieć się, jak właściwie rzeczy stoją i zażądać owego odszkodowania. Tylko nie wiem, jak się zabrać do rzeczy, żeby wytropić całą prawdę. Muszę się poradzić mego adwokaciny. Sądzę, że po sentymencie, jakim tchnęła moja ostatnia urządzona mu scena, dużo będę mogła z niego osiągnąć. Doprawdy – zdałaby mi się jakaś większa suma, pozwoliłaby mi spokojnie czekać na owo nowe... małżeństwo.

Tylko – wiesz – już teraz będę mądrzejsza. Każę sobie zapewnić jakąś sumę porządną w intercyzie ślubnej. Niech wiem przynajmniej, za co i dlaczego. Otaksuję się bezstronnie i uczciwie. Ale niech płacą!

Ktoś dzwoni.

Nieśmiało. To Ali! Ach! Nie chcę, nie przyjmuję. Co on sobie wyobraża? Chce wnieść do mego domu atmosferę swej sprzedanej i kupionej miłości? Aż mnie głowa rozboleła od tej samej myśli. Co to jest jednak ta nasza wrodzona uczciwość? Cały organizm burzy się i buntuje na myśl o kontakcie z kałem i rozpustą. – Drzę cała i tylko całuję twoje poczciwe i uczciwe oczy. To mnie jakby oczyści i uspokoi.

Twoja

Rena.

List szesnasty

Helu!

Przyjechał.

Twój Halski. Spotkanie. Niespodziewane. Banalne. W sklepie. Kupuję obrus i serwetki do herbaty. Lila. Skoro się na nim rękę obnażoną położy, bardzo twarzowe. Stoję przy kontuarze. Szczęściem, miałam na sobie suknię tę z dekoltażem. Byłam zondulowana i turban mój tiulowy, czarny, robił mi ton jakiś tajemniczy i niezwykajny. Widzisz, jak trzeba być zawsze pod bronią. A nie miałam już ochoty **ubrać** się dzisiaj. Omal nie wyszłam na miasto w mej pepitce. Tej do szarzenia. Coś mnie tknęło i natchnęło. Stoję tedy w sklepie bieliźnianym i kupuję serwetki. Nagle w lustrze dostrzegam jego.

Schudł, zmizerniał. Ale jest w nim coś, co rozbraja. Zamiast wstrętu, jak do Alego, budzi się we mnie nieprześlągana chęć walki, zdobycia go, odebrania tej niewidzialnej, a istniejącej.

I wiesz, co czynię?

Instynktownie.

– Oto – każę sobie czempredzej podawać najwytworniejszą bieliznę damską. Znoszą pudła batystów, koronek, walansjenek i klockowych, dalej hafty szwajcarskie, delikatne jak pajęczyna. Nagle cały wdzięk naszych *dessous* ujawnia się zwycięsko.

Odrzucam wzgardliwie blade, pastelowe, kolorowe batysty i jedwabie.

– To... nie dla mnie! – mówię, wydymając wzdargliwie usta.

Widzę w lustrze, iż na dźwięk mego głosu – **on** tam, wybierający kołnierzyki, drgnął i odwrócił się.

Ja – nic.

Pochylam się nad śniegiem koszul, pod które bardzo chytrze podłożono jutrzenną, różową bibułkę. Jakby przebijało od snu rozgrzane ciało kobiece. Ściągam szybko rękawiczkę. Obnażona moja poza łokieć ręka przebiega puchy i śniegi koronek. Widzę (ciągle w lustrze), iż czynię prześliczną sylwetkę *noir et blanc* – tak wdzięcznie wygiętą w mych czarnych, cieniuchnych szatach na tle tej nieskalanej bieli. Umyślnie rozrzucam czarujące i leciuchne piękności, aż nagle – chwytam czarną, jedwabną koszulę, pociętą całą ażurem koronek, i rzucam ją niedbale pomiędzy wybrane białe batysty.

– To wezmę także – mówię troszkę przyciszonym, jakby zdławionym głosem.

Subjekt, który mi służy, jest prześlicznym blondynem, o jakimś rozmarzającym uśmiechu. Tak wyglądała twarz *Rolli Mussetowskiego*.

– No – co począć? – Tak wyglądała! Ale **dziś** subjekt dla mnie nie istnieje. Cała myśl moja i siła skoncentrowała się tam, na tej postaci, czerniejącej w ukośnym promieniu słońca, który się przedziera do wnętrza sklepu przez zastawioną wystawę okienną. W tem odbiciu lustrzanem nabiera on wrażenia złudy jakiejś i lękam się, czy nie jest on czasem wytworem mej wyobraźni. Czegoś cieszę się, że mi padł na ręce. Wyobrażam

sobie, iż ta walka teraz to już będzie zupełnie **serjo** i doda życiu memu interesu, bez którego egzystencja samotnej kobiety jest niemożliwa. Czuję, że mam w sobie potężny bodziec, który mnie uzbroi w cudowne siły i doda wężowej przebiegłości.

– To będzie – zemsta.

Tak – i do walki z tym wrogiem muszę użyć broni, która go osiągnąć może. Odrzucam precz wszelką romansowość, a czas jakiś popadam w zmysłowość huryski, pragnącej za wszelką cenę zdobyć chustkę sułtana.

I ja pragnę zdobyć od sułtana nie „chustkę”, bo tę – Boże drogi! – uważam jako *malum necessarium*, ale... obrączkę ślubną.

– Tak – przyznaję się otwarcie.

I dlatego roztrząsam z takim szykiem i powolną, senną gracją te stosy batystów i koronek...

Wszystkie ścieżki są dozwolone, skoro prowadzą do Rzymu.

I widzę – co?

Oto mój, a raczej twój Halski zachowuje się jakoś biernie i obojętnie.

Poznał mnie, ale popatrzył na tę koronkową grę i... powrócił do swych kołnierzyków.

Poznałam, iż byłam na *fausse route*.

Przestałam igrać z koronkami, odwracam się i mówię:

– *Tiens!* To pan!... Nie widziałam.

A on na to:

– Przypuszczam!

– Dlaczego?

– Bo nie byłaby robiła pani takiego **etalazu** ze swych tajemnic.

Widzę, iż w kącikach jego ust gra ciągle ten sarkastyczny, niepochwytny uśmieszek. Nie wiem znów, czy prawdę mówi, czy szydzi...

– Nie rozumiem pana – bełkoce i co najgorsza, że tracę swoją pewność.

– Rozumie mnie pani doskonale! – mówi z zupełnym spokojem i odchodzi do kasy, aby zapłacić za swoje kołnierzyki.

Przy kasie siedzi ładna, świeża, zmysłowej urody dziewczyna. Widzę, że Halski uśmiecha się do niej, jak do swej dobrej znajomej, ślicznym uśmiechem swych czarujących, trochę za czerwonych i nazbyt „ponętnych” ust. Jestem podniecona i czuję, że mam głupią minę z memi batystami. Mussetowski subjekt zachwala dalej *combinaisons*, nawlekane sentymentalnie błękitną wstążeczką.

– To bardzo wzięte i praktyczne – mówi – właśnie pani mecenasowa Ottowa wzięła po trzy takie dla siebie i dla córki... Na wyjazd doskonale.

Głos jego brzmi płaczkliwie i monotownie.

Ja patrzę na to, co się dzieje przy kasie.

– Czy pani dobrodziejka weźmie taką *combinaisons*?

– Wezmę! – odpowiadam z rozpaczą.

– Ile par pani dobrodziejka każe odłożyć?

Pani dobrodziejka, gdyby mogła, udusiłaby tego Rollę od

combinaisonów.

– Dwie!

– Z błękitną, czy różową wstążką?

– Tak!

– ?...

– Z błękitną.

– I tę czarną koszulę?

Na co mi to wszystko, skoro on zapłacił już i pożegnał z wdziękiem kasjerkę, która aż się mieni od tej króciuchnej rozmowy. Potem – jakby sobie mnie przypomniał, zdaleka składa mi ukłon w ten swój specjalny sposób, ogarniający mnie całą. Tak, od stóp do głowy. Dreszcz mnie przeszywa. Chciałabym mu rzucić w twarz, że jest podły i że go nienawidzę.

Ale on ujął klamkę – i już go niema.

A ja pozostałam z kilkoma koszulami, nadzwyczaj drogiemi, z dwoma *combinaisons* o błękitnych wstążkach to jest z wydatkiem kilkudziesięciu guldenów...

To też, gdy subjekt płacziwym głosem zapytuje mnie:

– I ta czarna, jedwabna koszula?...

Wyrywam mu ją z ręki i rzucaam, aż pada poza kontuar.

– Nie potrzeba. Nie chcę.

Z rezygnacją twór Mussetowski pochyla się po ten czarny lachman, „przy którym ciało wydaje się bielsze”. Ja tymczasem idę do kasy płacić za moją przegranę. Widzę stanowczo, iż kasjerka ma jeszcze na twarzy, w uśmiechu, w oczach, odbłask tego zmysłowego wdzięku, jaki cechuje Halskiego. Znajduję ją

wstrętną i bezwstydną. Mówię do niej jak do psa. Ona, pogrążona w swej ekstazie, nie zwraca na to uwagi. Wychodzę ze sklepu formalnie rozwścieklona. Wskakuję do dorożki, bo czuję, że jestem brzydka i boję się, aby nie spotkać jego. Taszczę ze sobą swoje batysty, które poszarpałabym chętnie w kawałki.

I oto było moje **spotkanie** z tym nikczemnikiem!

Czuję, że on mnie nigdy ani odczuć, ani zrozumieć nie potrafi.

Twoja

Rena.

List osiemnasty

Helu!

Uspokoiliam się.

Wiesz, kto mi dał doskonałą radę? Oto Janka, owa narzeczona Ottowicza. Ciekawa rzecz, jak ta dziewczyna jest *experte* w tych rzeczach. Moznaby przypuszczać, Bóg wie co, gdyby się nie wiedziało, że jest absolutnie bez skazy. Zapewne, że tu gra rolę przedziwna intuicja. Otóż zjawiła się u mnie wczoraj po południu, bardzo szykowna, bardzo angielska i zawsze doskonale ubrana. Miała w ręku cudowną złotą torebkę, wartości co najmniej sześciuset koron. Prezent Ottowicza! Otóż powiedziałam jej wszystko. Byłam w takim dniu, w którym musi się mieć powiernika, bo inaczejby się człowiek udusił. Wygadałam przed nią wszystko. Umie słuchać. Ładnie słucha i mądrze. Widocznie pochlebiała jej ta rola, jako że ja, starsza od niej i ta, która „przeszła już przez życie” – zwierzam się jej i zasięgam u niej rady. Ale nie pokazała tego po sobie. Miała ciągle tę minę wyższości, to jest istoty, której **takt** nie zbacza ani na chwilę z drogi obranej, a to co się nazywa *folle du logis*, jest zamatowane i zamknięte do osobnej komórki. Patrzyła na mnie swemi dużemi, imponującemi oczyma i robiła wrażenie żony Cezara, „**która nie może być posądzana**”.

– Cały błąd twój – wyrzekła powoli, ważąc każde słowo – jest to, żeś się zanadto pośpieszyła.

– Jakto?

– Naturalnie. Pośpieszyłaś się wtedy, gdy Halski jest nasycony, a właściwie przepojony kobietą. Zbłądziłaś, idąc ku niemu ze zmysłową podniętą. Należało właśnie uderzyć w strunę nie sentymentu, ale rozumnego ideału. Zamiast rozwiewać przed nim koronki i batysty, trzeba było zapytać go o jego odczyt w Warszawie, o powodzenie, o to, czy czuł, iż zawiązuje się pomiędzy nim i słuchaczami kontakt, czy był odczuty, zrozumiany. Należało leciuchno podniecić w nim strunę jego wielkości, a co do zmysłów, te pozostawić na boku.

Czułam, że ma rację.

Powiedziałam jej z uwielbieniem:

– Masz słuszność. Jesteś mądra. Skąd wiesz o tem wszystkim?

Odpowiedziała mi skromnie:

– Zgaduję.

Poczem zapytała mnie:

– Chcesz się wydać za Halskiego po otrzymaniu rozvodu?

Byłam w wienie szczerości.

– Może! – odpowiedziałam.

Myślała chwilkę.

– Nie jest to bardzo błyszcząca partja! – wyrzekła nareszcie. – Ma tam jakiś kapitalik, jest tym profesorem – ale... jeżeli masz na niego gust...

– No, znów tak bardzo...

– W każdym razie zapamiętaj sobie jedno. W drobiazgach

możesz się zapomnieć, to nie ma konsekwencji. Wszystko to może być podciągnięte pod miano flirtu i to wystarczy. Lecz co do punktu głównego i zasadniczego, nie ustępuj!... Niech ci się nie zdaje, że może tem właśnie zobowiązesz mężczyznę, że jego honor etc. Nigdy! To są złudzenia. Gdy spragniony podróżny się napije, odchodzi od źródła obojętnie, a czasem pluje w jego powierzchnię. Tak samo i z nami. Naprzykład ja i Ottowicz... Czy sądzisz, że szalałby za mną, gdybym nie była dlań tą twierdzą niezdobytą, broniącą się z całą godnością i dumą. Co innego, że pozwalam, aby nieprzyjaciel... wtargnął czasem na okopy. Ale to wszystko. Sama forteca jest niezdobyta.

Uśmiechnęła się milutko.

– Gibraltar!

Patrzyłam na nią z podziwem i zazdrością.

Po prawdzie mówiąc, Janka jest brzydka i nie tak bardzo młoda. Ottowicz jest nadzwyczaj przystojny, bogaty i rozumny. Żona Ottowicza jest jedną z piękniejszych kobiet w kraju. I oto porzuca tę żonę dla Janki, szaleje za nią, obsypuje prezentami, zaniedbuje majątek ziemski, przesiaduje ciągle przy tej „narzeczonej”.

I za to wszystko maluchne koncesje.

Ale tej największej, tej istotnej – *jamais!*

Janka jest naprawdę bez skazy.

Za to szyję dać mogę.

Jak za siebie.

Więc Ottowicz się rujnuje dlatego, że czeka. To proste.

Doskonała metoda.

Halski jednak może ma inne pojęcia, inny układ nerwowy.

Pytam więc, ale bez przekonania:

– A czy wszyscy?

– Co?

– Tak szaleją w tem wyczekiwaniu?

Janka odpowiada bez namysłu:

– Wszyscy.

– A jeżeli się znudzą i odejdą?

– To już od nas zależy, ażeby się nie nudzili.

Wyciągnęła się, ręce zarzuciła w tył głowy.

Czy wiesz? Coś po jej twarzy przemknęło. Była jakaś inna, dziwna, zajmująca. Jakby kryła w sobie przepaść tajemnic.

– A jeżeli odejdą do innych, jak Ali?

Skrzywiła się pogardliwie.

– To nam nie uchybia. Nawet brzegu sukni nie dotyka.

Powinnyśmy o tem nie wiedzieć.

– ?...

– Tak jest. I ty otwórz chętnie drzwi Alemu i pozwól mu uklęknąć przed sobą. Będiesz jeszcze więcej dla niego Madonnowatą, niedościgłą *Jungfrau* – czy jak tam.

Ziewnęła. Spojrzała na cudny, okrągły zegarek.

– Idę.

– Ottowicz czeka na ciebie?

– Tak! Mamy iść wybrać kufer. Cudowne nadeszły. Poematy.

– Jedziesz?

– Do Marienbadu.

Nie pytam, czy jedzie sama. To znane i uznane, że Janka jeździ sama, a potem **przyjeżdża** Ottowicz.

– A kiedy Ottowicz jedzie?

– Za tydzień.

Jest zupełnie spokojna i bardziej „cezarowa żona”, niż kiedykolwiek.

– Czemu ty nie jedziesz? – zapytuje mnie, zapinając rękawiczkę.

– Nie mogę. Rozwód mnie trzyma.

Westchnęła.

– Szczęśliwa! **Nasz** rozwód, jak utknął, tak ani się chce poruszyć z miejsca. Ta Ottowiczowa jest bezwstydna. Żąda sum bajońskich. Radaby pana Olesia zrujnować do szczętu. Ciekawa jestem, na co jej to wszystko. Przetraci na stroje i wyjazdy. Pusta głowa! Ale ja czuwam i nie dam nas zrujnować! – Nie dam!

Wzięła z kąta cudowną parasolkę. Rączkę stanowiła złota kula, nasadzana chryzoprasami.

Mimowoli wyciągnęłam rękę.

– Och! cudo!

– Prezent wczorajszy od **niego!** – rzuciła niedbale.

Ucałowała mnie.

– Wiesz – coś tam słyszałam. Mamy mieć piknik pożegnalny, czy coś, zanim się rozjedziemy. Zaproszę małego i Halskiego dla ciebie.

Zatrzymałam ją.

– Gdzie to będzie?

– Naturalnie w naszej knajpie. – Chcesz tych dwóch? Może jeszcze kogo?

– Nie, nie. Tylko Halskiego. Alego nie chcę. Obrzydł mi.

– Dlaczego? Zostaw. To bardzo przyjemnie, jak tam coś pod łokciem poetycznie skrzeczy. Zresztą, jak chcesz.

Była już na progu.

– A!... nie dekoltuj się.

– Dlaczego?

– Dlatego, co ci powiedziałam. Halski ma dosyć dekoltażu. Uwidzisz go łatwiej szczelnie zasłonięta. – Później sobie to odbijesz.

Roześmiała się.

I znikła.

Po jej odejściu miałam wir w głowie i jakaś gorycz mnie ogarnęła. Wiesz, zazdrościłam jej. Tak. Serjo mówię. Zazdrościłam tej płaskiej, żółtej i trochę już w latach pannicy. Imponuje mi znajomością mężczyzn i *lâchons le mot* sprytem kupieckim. Doskonale swe dziewictwo wyprowadziła na targ i znalazła kupca. – A ja marnie drepczę w miejscu.

Ha! cóż... trzeba się **trzymać!**

Może i ja pójdę w cenę.

Zobaczmy!

Twoja

Rena.

List dziewiętnasty

Co? Jak? Dzieci twoje mają ospę?...

Boże! Co za szczęście, że sypiam w rękawiczkach!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.